Rok VI. Lwów, Niedziela dnia 19. Października 1879 r. Tom IX.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 38.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego

HENRYK SIEMIRADZKI.

Imię artysty którego przyjmujemy w naszem mieście, przed kilku jeszcze laty nieznanem było zupełnie. Mówiono, że w szkole petersburgskiej kształcił się malarz tego nazwiska o pewnym talencie; lecz co do narodowości jego krążyły wieści rozmaite.

Gdy w salonie honorowym wystawy wiedeńskiej, wysoko po nad drzwiami zawieszono jego Jawnogrzesznicę i obraz ten zaczął zwracać powszechną uwagę mimo swego złego umieszczenia, nazwisko Siemiradzkiego stało się głośnem. Lecz zaliczano go wszędzie do Rosjan, a i my sami byliśmy w wątpliwości, tembardziej, że temat do obrazu wzięty z poematu Tołstoja, a dzienniki rossyjskie wychwalały malarza jako „swoją“ gwiazdę.

Jakże inaczej dziś to wszystko wygląda. Jak dziwnie odbija od owych wątpliwości wielki czyn Siemiradzkiego; jak ów utalentowany dawniej i podziwiany jako artysta człowiek, stał się dziś ulubieńcem narodu, jego dumą, jak mu wszyscy cześć oddają i jak się tłoczą by jego szlachetną, młodą i ofiarną dłoń uścisnąć!

Jak niespodzianie ukazał się narodowi wielki malarz, jakby kwiat rozkwitły wśród nocy, tak też i wielka dusza jak meteor nagle zabłysła, dodała wszystkim ognia, natchnęła otuchą.

Za to go też wieńczy dzisiaj naród swoją miłością, a wieńczenie to stokroć ma więcej wartości w naszych nieszczęśliwych warunkach, niż hołdy królewskie, niż Medyceuszowskie dary.

Na obrazie ofiarowanym stoi napis: *et lux in tenebris lucet et tenebræ eam non comprehenderunt.* A światło świeciło w ciemności i ciemności go nie ogarnęły. Darowując ten obraz Siemiradzki wyraził życzenie, aby myśl ta przez jego dzieło ciągle się nam przypominała.

W umysłach ludzkich dzieją się obecnie wielkie rzeczy. Dwie wielkie potęgi stają coraz wybitniej, coraz z większym wysiłkiem na przeciwko siebie. Jedna z nich o silnej pięści, w oręż zbrojnej, którą nam ciągle przypominają wymierzone kroki żołnierskie, szacherki dyplomatyczne, kaimowe walki i cały tumult militaryzmu. Jest to moc pięści i ona dziś prawie wszystko w swem ręku dzierży. Z drugiej strony w cichości, niewidocznie z wzrastającą siłą podnosi głowę moc inna. Mędrzec, artysta, nauczyciel, robotnik protestują przeciw brutalnej przemocy, a szeregi ich zwiększają się co dnia tłumami zapalonych adeptów.

Moment wielki, stanowczy zbliża się szybkiemi krokami, ale dziś jeszcze jest smutno, walka zbyt trudną i jak owe pochodnie Nerona wśród rozpasanego tłumu słabsi pięścią ofiarą być muszą.

Ale czyż rezultat walki jest wątpliwy? Gdzież się podziały i świetność dworu Neronowskiego i jego pałace i Rzym tak wielki i potężny? Ci którzy byli pośmiewiskiem możnych i ofiarami przekonań, zwyciężyli i zatknęli swój sztandar wszędzie, gdzie dawniej zapędzały się orły cesarskie, a pamiątka po ciemiężycielach tylko w ruinach pozostała. Czyż dziś nie odbywamy podobnej walki i czyż dziś powątpiewać można kto zwycięży?

Cześć więc artyście za to, że tę myśl zamknął w harmonję barw i linji, a potem dał ją narodowi, aby ciągle mu w myśli stała i wzmacniała upadających.

Lecz nie dosyć na tem. Jedna myśl wielka rodzi wiele innych. Za darem królewskim Siemiradzkiego poszedł projekt założenia muzeum narodowego i już jest ono założonem. Dalej powstała myśl urządzania co kilka lat wielkiej wystawy ogólno polskiej, połączonej z nagrodami i konkursami, którąby dawała ogólny obraz stanu sztuki w Polsce, pobudzała do emulacji i zastępowała choć w części mecenasów sztuki, których nam tak brakuje. Siemiradzki zajął się żywo tą myślą i jego zdaniem najodpowiedniejszem miejscem z najrozmaitszych względów dla takiej wystawy ma być Lwów. Za tę myśl szczęśliwą i za tę pamięć czcimy go obecnie i uroczyście przyjmujemy.

Dla sztuki, dla kraju i dla miasta z wystawy takiej wielki będzie pożytek. Naprzód jedynie tylko przez zestawienie wszystkich dzieł polskich artystów, wytworzyć się może odrębna szkoła, odpowiadająca duchowi narodowemu. Dziś to jest niemożliwem prawie, bo obrazy rozrzucone są po całym świecie a w częściowych wystawach rzadko się z mniej więcej kompletnym zbiorem spotkać można. Nie ma porównań na wielką skalę — nie ma całości obrazu sztuki polskiej, widać tylko usiłowanie pojedynczych jednostek. Ten brak dotkliwy zostałby usunięty projektowaną przez Siemiradzkiego ogólną wystawą.

Na niej mogłoby się złączyć wszystko, co na zwykłych wystawach rozrzucone jest w rozmaitych działach, niemieckim, rosyjskim, francuskim, włoskim i innych. Nie zabieranoby nam najlepszych artystów i nie robiono z nich cudzoziemców. Zasługi Polski dla sztuki stałyby się widoczniejszemi i kraj odniósłby niezaprzeczony pożytek.

Że Siemiradzki proponuje Lwów na miejsce takich wystaw, to z naszej strony szczególna mu się wdzięczność należy. Miasto nasze na kresach leżące potrzebuje od czasu do czasu takiego odżywienia się w źródle ogólno polskiem, potrzebuje ono większej ilości wrażeń estetycznych, bo tu dotąd całe życie na walce się traciło, a jak wiadomo *inter arma silent musæ*; więc za tę myśl szczęśliwą i dla nas w skutki płodną łączymy się z ogólnym okrzykiem: Niech żyje Siemiradzki!

CHAITA.

OBRAZEK.

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

(Ciąg dalszy.)

Zdarza się czasem, że Chaimek uprzedza babkę i pierwszy z wycieczek swych po

mieście wraca do izdebki. Roztropne to jest dziecko. Wśród zmroku panującego w izdebce, wynajduje zapałki, roznieca ogień w małej lampce i stawia ją na okienku, aby przyświecała krokom babki, gdy przebywać ona będzie podwórko, mające kształt długiego krętego korytarza. Wszystko to czyni z powagą wielką, zwolna, ostrożnie, potem zaczyna odbywać po izdebce całej jeograficzne poszukiwania. Pogrąża się naprzód w mrokach zapiecka, i po szeleście, który tam czyni poznać można, iż rozgrzebuje i przeciera starannie nagromadzone tam stare papiery, potem zagląda pod stół, pod pierzynę i poduszkę babki i pod swoją własną, w kątku na ziemi leżącą pierzynkę. Niekiedy poszukiwania te pozostają całkiem jałowemi, najczęściej jednak, za piecem albo pod pierzyną, Chaimek znajduje zczerstwiałą bułkę, obwarzanek, albo kawałek chleba, czy twardego sera. Wtedy ze zdobyczą swoją siada w kącie izdebki, i zajadając z apetytem wielkim znaleziony przysmak, przytem nucąc z cicha, albo głośno śmiejąc się z przychodzących mu na pamięć wypadków dnia minionego, oczekuje przybycia babki. Wkrótce też daje się słyszeć za okienkiem uderzanie o kamienie bruku przydeptanych trzewików Chaity, nizkie drzwiczki roztwierają się szeroko i wsuwają się przez nie, naprzód gorąco żółta chustka oblepiająca głowę starej kobiety, potem zgarbione jej plecy, a potem wielki kosz sterczący cały różnobarwnemi szmatami, które go przepełniają, i połyskujący tu i owdzie metalowym guzikiem jakimś, przystrajającym znoszoną odzież. Wtedy Chaimek zrywa się z ziemi, przyskakuje do babki, pomaga jej zdjąć z pleców ciężar jej, a następnie wyciąga ku niej rączkę z niedojedzonym kawałkiem obwarzanka, lub sera i woła: „Jedz, Bobe!“ Chaita bierze czasem podawaną jej żywność i je, najczęściej jednak tak jest zmęczoną, że z głośnem stęknięciem siada na ziemi obok kosza i bezzwłocznie opuszcza ręce. Chaimek zdejmuje lampkę z okna, stawia ją też na ziemi, a sam naprzeciw babki siada i obie ręce chciwie w koszu zatapia. Jakaż radość! ileż tam wtedy wykrzyków zachwytu! Świetności za świetnościami występują długim szeregiem. Czasem np. ciekawe i niecierpliwe ręce Chaimka z trudem pewnym wyciągają z kosza babki wielką, długą, falbaniastą suknię z liljowego muślinu. Suknia ta plam i dziur pełna, ale Chaimek ich nie dostrzega, widzi on tylko piękny kolor liljowy, i z otwartemi usty przygląda się zwiklanym gałązkom deseniu. Po sukni występuje z kosza kapelusz słomiany, zmięty bardzo, z dnem wydartem, ale ozdobiony wielką różą i opaską z różowej wstążki. Chaimek na widok róży aż chwyta się za głowę obu rękami, potem, dla lepszego zapewne przypatrzenia się prześlicznemu przedmiotowi, wkłada go na głowę babki. Chaita nie wzbrania mu czynić tego, owszem, oczy jej błyszczą i uśmiechają się z pod róży ocieniającej żółte jej czoło, gdy uszczęśliwiony Chaimek naprzeciw niej staje, przypatrując się jej przechyla głowę na obie strony i woła: Schejne Bobe! a! szejne Bobe! Po kapeluszu następują buciki, drobne, dziecinne obuwie podarte, zbrudzone, ale z pąsowej, cieniutkiej skórki. Chaita nie kupiła ich, lecz podjęła z ziemi na obszernym dziedzińcu jakimś, u okna pięknego jakiegoś domu. W mgnieniu oka pąsowe buciki znajdują się już na nogach Chaimka. Skacze on w nich po izdebce, a co chwila staje i nizko schylając się, przypatruje się im z powagą i uwielbieniem nadzwyczajnem Chaita, patrząc na uszczęśliwione dziecko, odpoczywa.

— Chaimkie, czy ty dziś nic na mieście nie dostał? — Gdy wymawia słowa te, usta jej drżą trochę i powieki okrywają całkiem niespokojnie migocące źrenice. Widocznie wstydzi się własnego pytania i dolega jej ono mocno. Kiedy Chaimek odpowiada, że nic nie dostał, Chaita nic mu na to nie mówi, tylko zcicha coś mruczy do siebie, głową trzęsie i wzdycha; lecz jeśli tylko sięgnie on do kieszonki i wydobędzie miedzianą, lub drobną srebrną monetę, stara babka wyrywa mu pieniądz z ręki, ciska go o ziemię i w gniew wielki wpada.

— Ty znów — żebrał! — woła zrywając się z ziemi i rozpostarte ramiona wyciągając groźnie ku dziecku, które cofa się ku swej pierzynce. — A co ja tobie mówiła? — czy ja tobie nie mówiła, że żebrać to wstyd i grzech; ja ciebie za to rózgą wybiję.

Gdy tak woła, wyraz oczu jej tak jest rozsrożonym, głowa jej i ręce tak trzęsą się, że chociaż sceny podobne powtarzają się bardzo często Chaimek za każdym razem czuje się mocno strwożonym, i przypadłszy ku ziemi, chowa się pod pierzynkę swą caluteńki, z głową. Tylko malutkie nóżki jego w pąsowych bucikach wyglądają z pod pierzynki, a z innej strony przez małe uchylenie jej wygląda jeszcze czarne oko, wpół trwożnie, wpół filuternie na babkę spoglądające. Chaita staje nad parą pąsowych bucików i miewa do nich długą jeszcze przemowę o wstydzie i grzechu żebraniny. Przy końcu woła gniewnie:

— Zdejm buciki! Co to? czy ja je dla ciebie tu przyniosłam?

— Bobe! — odzywa się z pod pierzynki przyciszony, jękliwy głosik.

— Zdejm zaraz buciki, nu!

— Bobe, pozwól mi w nich tę jedną noc przespać!

Głosik przybrał tym razem tak przejmująco błagalne tony, że Chaita czyni pobłażliwy gest ręką i odchodzi ku swemu łóżku. Ztamtąd odwraca się raz jeszcze i spostrzegłszy głowę dziecka, która zjeżona kasztanowatemi kędziorkami, wygląda już z pod pierzynki wpół nieśmiało, wpół swawolnie, uśmiecha się ku niej i szepcze:

— Fiszele! (rybko, dzieciątko),

Nazajutrz, gdy Chaimek otwiera ze snu oczy, za okienkiem, na długiem, wązkiem podwórku dnieje, błękitnawy zmrok poranku napełnia izdebkę, a na mglistem tle tem wydatniej odbija się przygarbiona postać Chaity, w szafirowy kaftan bez rękawów przyodzianej i z twarzą zwróconą ku oknu, modlącej się żarliwie. Z szybkiemi, krótkiemi pokłonami, z rękami podnoszącemi się nieco w górę, półgłosem wymawia ona:

— Błogosławionym bądź, Panie świata, który prostujesz zgiętych w łęk!

— Błogosławionym bądź, Panie świata, który dajesz siłę strudzonym!

— Błogosławionym bądź, Panie ś., który sen z oczów, a drzemanie z po wiek moich spędzasz!

Chaimek wydobywa się z pod pierzynki swej i w szarej koszulince a pąsowych bucikach stanąwszy za babką, zaczyna kłaniać się tak jak ona, i mówić:

— Błogosławionym bądź, Panie świata, za to, żeś nie stworzył mię niewolnikiem, ani bałwochwalcą!

— Błogosławionym bądź, Panie ś., za to, żeś stworzył mnie mężczyzną!

I dalej jeszcze, długo odmawia poranny pacierz, którego, przez litość nad ubogiem, zaniedbanem dzieckiem, nauczył go uczony Szymszel, ojciec serdecznego przyjaciela jego, małego Mendele.

Stara babka niczego nauczyć go nie mogła, bo oprócz tego, że po całych dniach w domu nie bywała, wiedzy najmniejszej nie posiadała sama. Bracia jej uczyli się długo różnych mądrych rzeczy, ale ona nie umiała nawet czytać. Wiedziała jednak o tem dobrze, iż wnuk jej powinien był umieć to, co umieli bracia, mąż i zięć jej, a zmarły oddawna już ojciec Chaimka. Ubodzy to byli i ciężko pracujący ludzie, ale czytać po hebrajsku umieli i zakonu izraelskiego mnogie przepisy znali. Wiedzę tę posiadać musi każdy w Izraelu mężczyzna. Prawidło to nie posiadające wyjątków. Miałżeby tylko wnuk jej stanowić w tym względzie haniebny i srodze boleśny dla niej wyjątek? Chaita myślała o tem nieraz z trwogą i smutkiem wielkim, ale zaradzić trosce swej nie mogła. Melamedowie nie bywają na ogół ludźmi bezinteresownymi, a ona zarabiała na handlu swym jak raz tyle, aby módz wydać na utrzymanie swoje i wnuka, rubli sr. 3 na miesiąc, czyli gr. 20 dziennie. Jeżeli miesiąc miał dni 31, Chaita z dniem tym naddatkowym bywała zwykle w srogim kłopocie. (C. d. n.)

Z PODRÓŻY I PRZECHADZEK

PO POŁUDNIOWO-ZACHODNIEJ NORWEGJI.

Z LUŹNYCH NOTATEK SPISAŁ

STANISŁAW BEŁZA.

(Ciąg dalszy).

VIII.

List drugi do przyjaciela, albo góra olbrzym i olbrzym wodospad; różne przygody, czyli przyjemności podróżowania w kompanji, nocne niebezpieczeństwo na jeziorze Tynn i powrót do Kongsbergu na Bolkesiö.

Z Tinnoset do Oernäs wypadło mi jechać statkiem parowym, dwie te bowiem miejscowości przedziela romantyczne jezioro. Wśród stromych gór wije się ono raz wązkim wężykiem, to znowu rozlewa się szerzej, aby nakoniec w coś nakształt rzeki się zamienić.

W Oernäs, trzeba było się posilić. Dano nam więc (było nas bowiem trzech: ja i dwaj Norwegczycy) obiad prawdziwie pański. Po przekąskach złożonych z ryb, sera i homarów, zastawiono przed nami kilka takich dań, żeby ich się nawet nasz Stępkowski nie powstydził. Co zwróciło uwagę moją w tym obiedzie, to dziwny sposób, w jaki przyprawiane było mięso; zamiast pieczystego, dano nam smażoną wołowinę pokra-

aną w talarki z długim ostrym sosem. Wyglądało to coś na nasz ozór, tylko że smaczniejsze od ozoru było.

Po zjedzeniu obiadu, który nam przeszedł bardzo przyjemnie, miałem bowiem w mojem towarzystwie nader miłego Norwegczyka (p. Dideryka Bruna), należało pomyśleć o ruszeniu w drogę, by na wieczór stanąć w Krokanie.

Dotąd podróżowałem albo piechotą, albo statkiem, albo na karjoli; obecnie powiedziano mi, że jechać będziemy porządną i wygodną bryczką zaprzężoną we dwa konie. Cieszyłem się na samą myśl tej podróży, raz że miałem jechać do miejscowości jednej z najpiękniejszych w Europie, a powtóre że podróż brączką nie obiecywała mi tyle znużenia, co podróż karjolą.

Oernäs, nie wielka osada, dziwny doprawdy ma charakter. Patrząc na nią zdala, zdaje się że jest spychaną przez okoliczne góry do jeziora, i że lada chwila zagładę w niem znaleść musi. Domki bowiem, jakie ją skadają, przylepione są do skał, a że tuż stoją nad wodą, przeto złudzenie takie a nie inne sprawiać muszą. Widok z niego bardzo piękny.

Stanąwszy we wrotach gościnnego domu, masz całe jezioro jak na dłoni, a że nie płynie ono prosto, ale wężykiem wije się wśród gór, przeto przy blasku słonecznym przedstawia ci się jak srebrna drożyna wykuta ręką jakiego Cyklopa pomiędzy granitem.

Ledwiem miał czas rozejrzeć się po okolicy, gdy nagle po kamienistym gruncie coś zaturkotało i bryczka zajechała przed dom. Wsiedliśmy więc a za chwilę straciliśmy i Oernäs i jezioro z oczów.

Droga do Riukanfossu prowadziła na małą wioszczynę Dale, oddaloną ztąd o jedną norwegską milę (mila norwegska jest znacznie większa od naszej). Jedziemy jednak długo, nierówność bowiem gruntu zapał koni oziębia na każdym kroku. Po jednej stronie mamy rzeczkę Maanelw, po drugiej góry większe i mniejsze. Niedaleko Dale ukazuje nam się olbrzymia Gausta, największa góra w południowej Norwegji.

Kiedy jechaliśmy, wszystko co żyło po wsiach zajęte było sprzętem. Kilkakrotnie przystawałem więc, by przyjrzeć się pracom na polu w Norwegji, tak różnym od tych, jakie widziałem u siebie w domu. Przedewszystkiem zwróciło uwagę moją uderzające ubóstwo tutejszej gleby. Zboże stojące jeszcze na pniu i ścięte przedstawiało się ubogo i nędznie. Robotą żniwiarską zajęte były przeważnie kobiety. Ubrane krótko z zawojami na głowach, przypominały nasze Kachny i Marysie. Jedne ścinały sierpem żyto czy też jęczmień, a drugie wiązały je w maleńkie snopki, które przyczepiały do trzech skrzyżowanych tyczek wbitych w ziemię. Jak mnie moi towarzysze podróży informowali, zwyczaj takiego układania snopków przyjęty jest prawie w całej Norwegji, z powodu bowiem górzystości gruntu, należy spływającej z góry wodzie pozostawić pod snopkami wolny przepływ. Inaczej z tego biednego Norwegczyków dobytku nicby nie pozostało... Kobiety pracując nuciły swoje melodje tęskliwe a śpiewne. Przywołałem jedną z nich, dałem jej szylinga i kazałem głośno śpiewać. Kiedy skończyła, prosiłem Bruna, by mi znaczenie słów śpiewu jej opowiedział,

Posłuchaj więc.

Biedna dziewczyna kochała panicza.. Jego wzięto na flotę na marynarza, a ona została w domu. Została nie sama...

Przyszło dzieciątko... Ale za dzieciątkiem przyszły i łzy.. Panicz powrócił, lecz także nie sam, bo z młodą i piękną kreolką. Dziewczyna tego ciosu przeżyć nie mogła i zmarła sobie cicho z bolu serca w rodzicielskiej chatce. Ale nad dzieckiem miał litość ten, kto jej nie miał nad matką. Przytulił je jak swoje i wychowuje pod dachem własnego domu.

Pieśń kończyła się słowami:

„Miłość gorsza od śmierci. Śmierć daje spokój, a miłość niepokój rodzi“

— Prawdę śpiewa dzewczyna — rzekłem, ruszając z miejsca — i przyszły mi zaraz na myśl cudne słowa twórcy Wallenroda:

„Kto nie zna miłości, ten żyje szczęśliwy,
I noc ma spokojną i dzień nietęskliwy.“

Niedaleko za Dale, woźnica staje i powiada, że już dalej jechać nie może. Istotnie droga około niewielkiej wiejskiej chaty jakoś się urywa. Wciska się ona wężykiem w las porastający stromą górę i znika zupełnie z oczów. Nie ma więc co robić, trzeba wysiadać, rozprostować nogi i ruszać dalej piechotą. Tak też czynimy i niedługo po opuszczeniu bryczki, znikamy wszyscy trzej w gęstwinie leśnej.

Z miejsca tego, które na żadnej mapie Norwegji nazwy nie nosi, już tylko do Riukanu pół mili. Brun podejmuje się nas tam doprowadzić, choć ja nie bardzo ufam jego znajomości drogi. Jakoż się nie mylę, ledwie uszliśmy bowiem z pół wiorsty lasem, drożyna wiodąca nas dotąd rozszczepiła się na trzy gałęzie i Brun stanął jak wryty. Nie wiedział gdzie iść. Na usprawiedliwienie swoje zaczął nam dowodzić, że przed rokiem gdy był w tych stronach, dwie tylko tu drogi były, że trzecia nie pozwala mu się zorjentować, wreszcie oświadczył, że i najznakomitsi na świecie przewodnicy, czasami w górach błądzą.

Oświadczeniem tem tak nas zabawił, żeśmy się na niego gniewać nawet nie mogli, postanowiliśmy jednak, nie słuchać już rad i uwag jego, a kierować się w dalszej wędrówce naszym wyłącznie instynktem. I instynkt ten rzeczywiście do Riukanu nas wkrótce doprowadził. Dostrzegłszy bowiem że w końcu jednej drożyny las cokolwiek rzednieje, podczas gdy około dwu drugich przedstawia się jak zbita masa, puściliśmy się tą drogą, a gdy uszliśmy wiorstę usłyszeliśmy huk i szum, byliśmy pewni, że wodospad blisko. Szliśmy więc tak jeszcze z pół godziny po stromej górze, a łoskot spadającej wody ciągle się powiększał. Około godziny szóstej wieczorem, nareszcie drożyna wyprowadziła nas z ciemnego lasu. Znaleźliśmy się na płaszczyźnie wielkiej jak pół Saskiego placu, w pośrodku której wznosił się maleńki domek.

Na progu stała młoda i powabna kobieta.

— Proszę panów — rzekła z uśmiechem po angielsku — kolacja już gotowa.

Weszliśmy do domku.

. . . .

Przed oczami memi ukazał się straszny Riukan!

Widziałem wiele, przecież nic podobnego nigdy jeszcze nie ukazało mi się nawet w marzeniu. Pierwsze przed kaskadą wrażenie, było doprawdy przygniatające. Stałem osłupiały, nie mogąc zdać sobie dobrze sprawy gdzie jestem i na co patrzę: dopiero po długiej chwili przyszedłem do siebie.

Miejsce gdzie stałem, a raczej gdzie staliśmy (oprócz nas trzech bowiem, było tam kilku Anglików i Angielek) znajdowało się naprzeciwko wodospadu; mogliśmy więc dobrze go obserwować. Przed nami piętrzyły się dwie stromy góry a pod nami widniała, przepaść... Szczytem dwu gór płynął z szumem potok, bałwaniąc się i pieniąc. Widziałeś go zdala jak pędzi, unosząc z sobą kłody drzew i kamienie, burząc wszystko i niszcząc po drodze. Niebaczny, nie widział on że tuż tuż straszna śmierć go czeka. W jednem miejscu bowiem góry się rozszczepiły i odmówiły mu łoża. To przyspieszyło jego zgubę. Zwalił się wiec z łoskotem i zgon znalazł w przepaści.

Wysokość z jakiej Riukan spada, wynosi nie mniej, nie więcej, tylko 540 stóp. Można więc mieć wyobrażenie co się z potokiem tym po spadku staje. Wody jego rozbite na atomy spadają na dół parą — i tumanami pary powracają napowrót do góry.

Widok przecudowny. Kiedyśmy tak wszyscy w religijnem milczeniu stali przed olbrzymim wodospadem, księżyc tymczasem wychylił się z poza gór. Wyszedł cicho i poważnie i osrebrzył całą panoramę. Opisać jak wtedy kaskada wyglądała, niepodobna; powiem tylko, że wszystkie kobiety ze zdumienia popadały na kolana i głośno modlić się zaczęły, a my mężczyźni modliliśmy się w duchu.

Chcąc jeszcze lepiej przyjrzeć się samemu potokowi, który takie cuda tworzył, wdrapałem się na jedną stromą górę okalającą wodospad. Omało co jednak nie przepłaciłem tej śmiałości straszną katastrofą. Gdy bowiem schodziłem, noga mi się pośliznęła, i zacząłem spadać na dół i gdyby nie barjera żelazna, o którą się zawadziłem, byłbym spadł w przepaść.

Nazajutrz rano, jak to mówią *jeno świt*, poszedłem znowu nad Riukan. Chciałem go bowiem zobaczyć przy blasku wschodzącego słońca. Jak na złość jednak po wczorajszym dniu upalnym, niebo dziś było zasnute chmurami i ani jeden promień słońca z po za nich przedrzeć się do ziemi i do tych wód nie mógł. To mnie w zły humor wprowadziło, mówiono mi bowiem, że przy blasku wschodzącego słońca Riukan jeszcze piękniej niż przy księżycu wygląda. Gdyby więc nie wesołość Bruna, byłbym bardzo kwaśny odbył całą powrotną podróż na Gaustę, zwłaszcza też, że pogoda nam nie sprzyjała; że jednak on melancholijne myśli od nas obu odpędzał, przeto mimo lejący jak z cebra deszcz, śmiać się do rozpuku musieliśmy.

Mówiłem nieraz że o ile góry przyjemne są w pogodę, o tyle nieznośne robią wrażenie gdy chmury zawisną nad ich szczytami i deszcz na ziemię padać zacznie. Pominąwszy już to bowiem, że deszcz w górach jak zacznie nieraz padać, to pada do znużenia; a choćby i krótko padał, to wrażenie niekorzystne zawsze sprawiaćby musiał. Znajdujesz się bowiem wtedy jak w klatce i nic literalnie dokoła nie widzisz, prócz chmur nad głową i pod nogami.

To cię niepomiernie drażni a rady na to nigdzie znaleść nie możesz.

Przyjechwszy około południa do Dele, chcieliśmy zaraz wdrapać się na szczyt Gausty, że jednak deszcz nie ustawał, musieliśmy odłożyć tę przyjemność do jutra. Jokoż nazajutrz nająwszy przewodnika, bo już Brunowi dowierzać nie chcieliśmy, około godziny szóstej rano ruszyliśmy w drogę i w kilka godzin stanęliśmy na najwyższej górze południowej Norwegji.

*

Gausta wzniesiona 6000 stóp nad poziom morza, nie jest wcale stromą górą. Przeciwnie, zdaleka już przedstawia się jak półkolista mycka żydowska, a kto na jej wierzch wejść zapragnie, o jej przystępności nabierze dokładnego przekonania. Roślinność pokrywa ją w znacznej części; miejscami wije się kosodrzewina, a miejscami wreszcie świecą gołe skały. Śniegu nigdzie nie widziałem.

Wszedłszy na szczyt, masz prawdziwie majestatyczny widok. Cała bowiem okoliczna Thelemarken ukazuje ci się jak na dłoni, a że Gausta panuje nad wszystkiemi wzgórzami południowej Norwegji, przeto wzrok twój bujać swobodnie może kilka mil dokoła. Masz więc przed sobą i Kongsberg i daleką nawet Chrystjanią i jezioro białe jak kryształ i sine wody morskie. Napoiwszy wzrok do syta, zstępujemy z góry na dół i około godziny szóstej wieczorem jesteśmy z powrotem w Dale.

Tu następuje rozstanie z moimi towarzyszami podróży. Oni bowiem jadą na Hardanger, a ja wracam do Oernäs. Rozstanie było dość przykre dla mnie. Przez te kilka dni wspólnych podróży zżyłem się jakoś dziwnie z tymi dwoma Norwegczykami i tęskniłem za nimi, kiedy mnie karjola do Oernäs unosiła.

Przybywszy do Oernäs dowiedziałem się, że statek przed chwilą odszedł do Tinnoset. Jeszcze widziałem kłęby dymu z jego komina. Wypadało mi więc albo nająć łódkę i puszczać się nocą za statkiem, albo nocować w Oernäs. Wybrałem pierwsze.

Podróż moja nocna po Tynnie należy do najromantyczniejszych, ale bodaj czy nie do najstraszniejszych zarazem w mojem życiu. Trwała ona niedługo, bo tylko sześć godzin, a przecież pozostawiła po sobie niezatarty ślad w mojej duszy.

Już w Oernäs ostrzegali mnie, bym się łódką w drogę nie puszczał. Po ulewnym bowiem deszczu nastały wiatry: jezioro całe bałwaniło się jak małe morze. Byłbym może tych ostrzeżeń usłuchał, gdyby nie gorąca chęć dostania się jak najprędzej do Tinnoset. Pragnąłem bowiem jeszcze, powróciwszy do Chrystjanji, zwiedzić sławną Ringerike; strata więc całego dnia bolałaby mnie bardzo. Nie bacząc więc na nic, wsiadłem do łódki i niedługo utraciłem Oernäs z oczów.

Była godzina 10 wieczorem. W łódce siedziało dwu sterników i ja. Płynęliśmy. Z początku wszystko nam sprzyjało, wiatr zaczął dąć z tyłu, tak że wioślarze założyli żagiel, który im oszczędzał trudu wiosłowania. Ale niedługo ta pomyślność trwała. Zaledwie usiadłem na ławeczce i zacząłem przywoływać wrażenia ubiegłych dni, gdy nagle usłyszałem trzask i świst przeraźliwy za sobą. Oglądam się, a tu ster z podartem płótnem już wyrzucony z łódki. Wiatr zawył i zakołował maleńką łupinką, w której siedzieliśmy, a nadomiar złego, deszcz zaczął lać jak z cebra.

Sternicy powstali z łódki i spojrzeli groźno jeden na drugiego; ręce im opadły z wiosłami. Nie sposób było jechać, bałwany bowiem i wiatr miotały nami na wszystkie strony.

Jeden ze sterników zbliża się do mnie i zaczyna coś mówić. Nic go nie rozumiałem, ale jestem pewny, że mówił, iż niebezpieczeństwo naszemu życiu grozi. Czyż bo w podobnej chwili o czem innem mógł do mnie przemawiać? Udałem, że go rozumiem i kiwnąłem kilka razy głową.

Jak długo trwało niebezpieczeństwo, sam nie wiem, nie liczyłem bowiem godzin. Wszyscy byliśmy zrezygnowani. Co się mnie tyczy, to wcisnąłem się w kąt łódki i czekałem rychło jaki silniejszy bałwan wyrzuci mnie do jeziora. Było zimno i ciemno: naokoło mnie góry przyglądały się z lodową obojętnością katastrofie, jaka zgon nasz przyspieszyć miała; podemną szkliła się wodna przepaść, a nademną wisiały gęste i czarne chmury, bezlitośne, wilgotne. Śmierć czuliśmy w powietrzu.

Żeśmy w nurtach jeziora śmierci nie znaleźli, uważam to za prawdziwy cud Mieliśmy bowiem w łódce wodę po kostki, a bywały chwile żeśmy znikali zupełnie w bałwanach. Ale przeznaczonem nam było widocznie żyć. Około godziny bowiem czwartej rano dostrzegliśmy jak przez mgłę statek, który z powodu burzy, przy brzegu na kilka godzin przystanął. Promień ocalenia nam zaświtał. Zaczęliśmy głośno wołać ratunku (ja wołałem po polsku) i ratunek nam nadszedł. Podpłynął ku nam statek i w chwili, kiedy przenosiliśmy się na jego pokład, nasza łódka poszła na dno jeziora. Pół godziny później, a byłoby już po nas.

Około godziny 5 rano przybyliśmy do Tinnoset, gdziem cały dzień przepędził, byłem bowiem niewywczasowany i słaby. Trzeciego więc dnia dopiero mogłem się puścić z powrotem. Do Kongsberg wracałem na Bolkesiö. Droga ładna i wygodniejsza od tej jaka prowadzi na Lysthus. Co krok słyszysz szmer strumienia, a pod Bolkesiö masz piękne jezioro.

(Dok. nast.)

POBÓR REKRUTA,

OBRAZEK ZE WSPOMNIEŃ DZIECIŃSTWA.

przez

JÓZEFA TRETIAKA.

(Dokończenie).

Otóż i Petryk uciekł, a mnie się to wydawało bardzo zabawnem, że on się mógł bać oddania w rekruty, on, którego tak wszyscy lubili, od którego miłej postaci, aż jaśniej się robiło, gdziekolwiek wchodził. Tymczasem ostateczny termin stawienia rekruta nadchodził, matka moja była w wielkim kłopocie. W razie niedostarczenia rekruta zjeżdżał na koszt wsi prystaw z policją i nie znajdując nikogo odpowiedniego na wsi, porywał pierwszego lepszego z dworskich ludzi, nie bardzo się nawet na wiek oglądając. U nas z pewnością porwałby Ignacego. Wprawdzie można było czasem kupić sobie rekruta zkąd inąd i w tym razie byłoby to bezwątpienia najszczęśliwsze rozwiązanie tej smutnej i kłopotliwej sprawy, ale o tem nie można było ani myśleć. Zasoby nasze pieniężne były tak szczupłe, że wydatek kilkuset rubli po nadzwyczajny ściśle obliczony budżet roczny należał do niepodobieństw. Matka tedy zwołała starszych chłopów na naradę, powiedziała im, że termin stawienia rekruta jest już bardzo bliski, że w razie niestawienia i dwór i wieś musi ponieść wielkie koszta, że trzeba zatem, aby sami zajęli się tą sprawą, sami przeznaczyli kogoś na rekruta, wyszukali go i co prędzej odstawili do komisji. Chłopi, którym ten stan niepewności, będąc powodem ciągłej mitręgi w robotach, bardzo się uprzykrzył, przyjęli przemówienie matki szmerem zupełnej aprobaty, a jeden z nich, Nowosad, wzorowy gospodarz, któremu najbardziej stan obecny dokuczał, zaproponował, aby nie wybierać, ale pierwszego złapanego z tych, co uciekli, odstawić zaraz do komisji. Tym sposobem, dodawał, nie będzie nikomu krzywdy; kto się pierwszy da złapać, ten widać już był przeznaczony na rekruta. Fatalistyczny ten pogląd podobał się wieśniakom, a i matka nie miała nic przeciw niemu, bo w istocie trudny był wybór między tymi, co pouciekali. Byli to wszystko ludzie uczciwi i każdego z nich żal było, a przecież jeden z nich musiał być oddany.

Tak więc los miał rozstrzygać. Rozpoczęły się poszukiwania, w których Nowosad odgrywał najczynniejszą rolę, wskutek czego wszyscy uznali go wkrótce w cichości za naczelnika tych gończych wypraw. Tymczasem wieś w cichem, ale gorączkowem natężeniu wyczekiwała rozwiązania całej sprawy. Kumoszki, spotykając się z sobą przy studni przy napełnianiu konewek szeptały sobie po cichu oglądając się tajemniczo, jak tam kogoś widziano z daleka w zbożu, jak potem zniknął bez śladu, jak komuś innemu w nocy wynoszono jedzenie ze wsi i t. p. wieści, które pod największym sekretem opowiadane, całą wieś do najdalszego zakątka obiegały. A dnie płynęły i termin coraz groźniej się przysuwał.

Petryk oprócz brata Ignacego nie miał nikogo z bliższych krewnych we wsi, do Ignacego więc na mocy pokrewieństwa należało zaopatrywać Petryka w żywność. Nie wiem, jak się stateczny a niezbyt obrotny Ignacy przy swojej wielkiej robocie codziennej wywiązywał z tego zadania, ale to wiem, że go nieraz w tym względzie wyręczał kto inny. Była to siedmnastoletnia Tatiana, jedna z najpiękniejszych, a może najpiękniejsza dziewczyna we wsi, smukła, czarnooka, z długą rzęsą, z pod której nieśmiele wyglądało wstydliwe, dziewicze spojrzenie. Tatianie, jak mówiono, Petryk podobał się bardziej, niż jakiejkolwiek innej dziewczynie. Znali się z sobą dobrze, podobno przyrzekli sobie pobrać się, jak tylko nic nie będzie stało na przeszkodzie. Petryk uchodząc wskazał Tatianie schronienie, które obrać zamyślał i tam mu dziewczyna pokryjomu donosiła od czasu do czasu to, co mogła zaoszczędzić w domu z własnego i niewłasnego jedzenia. A może surdutowy Ignacy dawał Tatianie żywność dla brata, może nawet hojna dla Ignacego ręka panny Petronelli nie była obcą tej sprawie? Wszystko to już należało do tajemnic, w które łatwiej było uwierzyć, niż je zbadać.

Schronienie, które sobie obrał Petryk, znajdowało się już na gruncie Dziegciowa sąsiedniej wioski, malowniczo rozrzuconej na pochyłości góry, którą doskonale widać było z frontowych okien dworu. Na górze, nad wioską rozściągały się łany zboża, przeważnie żyta i owsa, nieco dalej zielenił się gaj, którego już od nas nie było widać. Petryk obrał sobie schronienie w zbożu i to w miejscu bardzo strategicznem, wysadziwszy bowiem trochę głowę po nad żyto, można stamtąd było widzieć całą naszą wioskę jak na dłoni i szeroki pas łąki, który się przed nią rozściełał i wszystkie drogi i ścieżki, które prowadziły od nas w stronę Dziegciowa. Mógł więc Petryk zdaleka widzieć zbliżanie się obławy.

Dnie były pogodne, zimno i wilgoć nie dokuczały, leżał więc sobie Petryk spokojnie w białem życie, zabarwionem bławatkami i makiem i przez kłosiane ramy spoglądał na błękitną szybę nieba. Tak leżąc, o czem myślał? Prawdopodobnie o tem, że ostrożność nie zawadzi, że bądź co bądź dobrze zrobił, iż uciekł, jakkolwiek nie ma wielkiej obawy, aby na niego dybano: wszyscy mu we dworze sprzyjają i we wsi nikogo nie obraził. Oddadzą pewno w rekruty Maksyma lub Filipa (szkoda będzie, ale cóż robić!), doniesie mi o tem Tatiana (dobra dziewczyna, jak ona odważna i ostrożna!) i wtedy powrócę do wsi. A potem? Petryk uśmiechnął się i przymrużył oczy, przyjemne obrazy zaczęły mu się na myśl nasuwać. Obiecała mi pani kiedyś, że jak się będę żenił, da mi kawałek gruntu i drzewa na chatę. Schylę się teraz do nóg pani i powiem, że radbym się ożenić z Tatianą. Pani dobra, nie odmówi, a i rodzice jej, jak się przekonają, że mam grunt i chatę, oddadzą mi córkę. Gdzieby to chatę postawić? Tam nad łąką pod starym dworem byłoby doskonale. Kapusta by się wybornie udawała, możnaby mieć ule, pszczołyby latały do starych lip co koło dawnego dworu rosną. Nasadziłbym wisień i śliwek koło chaty, ażby gęsto było. I kaczki miałyby się gdzie pluskać w tym strumyku, co płynie przez łąkę. Koni bym nie miał tyle, co Prokop (ten dopiero ma koni!), alebym dbał, żeby były zawsze zdrowe i silne i dobrze wypasione. Konie mnie lubią; jak ta kara Osmólska zawsze rży i ogląda się, jak wchodzę do stajni. A krowę? Tatiana pewno przyprowadzi, a jak nie, to kupimy młodą jałówkę we dworze na odrobek. I prosiaka ukarmić na wieprza, to nie wielka sztuka, a słonina dobra rzecz, szczególnie tak z cebulą przysmażona, i po grochu polana. I tu w wyobraźni Petryka staje obraz: powrócił z roboty, usiadł za stołem pod obrazem św. Mikoły, a Tatiana podaje mu miskę grochu ze słoniną. Jednakże, to dziwna! nie rzuca się do grochu, ale patrzy na żonę, przyciąga ją za rękę, sadzi przy sobie na ławie, obejmuje strudzonem ramieniem, patrzy w jej twarz, która dłań kwitnie dzisiejszą jeszcze urodą i na jej ustach znajduje najsłodszą omastę życia.

Po takich marzeniach zasypiał, ażeby we śnie dalej snuć rojenia, już bardziej fantastyczne. Pewnego rana podczas snu uczuł, że go coś bardzo ciężkiego gniecie. Chciał się podnieść, nie mógł; otworzył oczy i ujrzał nad sobą kilku chłopów, z których dwóch trzymało go za nogi, a na sobie siedzącego Nowosada, który mu powrozem krępował ręce. Jeszcze raz chciał się zerwać, ale już większa siła cisnęła go teraz, daremnie wyprężał się. Jęknął więc i legł bezwładnie, poddając się swemu losowi.

Któż go zdradził? Nie zdradziła go lulka, którą lubił, a której umyślnie nie palił, zdradziła go dziewczyna, którą kochał i której zaufał. Ale nie umyślnie, ach! nieumyślnie zdradziła go nieszczęsna, dając się podpatrzeć starej wiedźmie Aleksandrze, którędy i dokąd nosiła jedzenie. Aleksandra natychmiast dała znać o tem Nowosadowi, a ten wziął zaraz dziesiętnika i kilku chłopów i ruszył z nimi na wskazane miejsce.

Tego dnia rano, kiedym wszedł do jadalnego pokoju, gdzie już pośrodku na krągłym stole nakrytym do herbaty, syczał stary mosiężny samowar, ujrzałem na wszystkich twarzach jakieś pomięszanie i smutek.

Stanąwszy przy stole, przysłuchiwałem się rozmowie, którą prowadzono, a z której zrozumiałem, że już złapano kogoś.

— Kogo złapano? — spytałem brata.

— Petryka — odpowiedział — Pożegnaj się z nim na zawsze.

Powiedział to tonem, w którym nie było ani odrobiny żartu, a przecież nie chciałem mu wierzyć i wodziłem oczami po wszystkich twarzach, szukając jakiegoś półuśmiechu, któryby moją niewiarę potwierdził. Niestety! nie znalazłem go ani na jednej twarzy i dopiero wtedy na dobre ścisnęło mi się serce. Chciałem się wreszcie z ust matki przekonać ostatecznie. Matka przycisnęła mnie do piersi i pocałowała w głowę.

— Nie ma sposobu uratować go — rzekła.

Nie ma sposobu! Więc Petryk zostanie rekrutem! więc pewno nałożą nań dyby, jak na Dawida! Ta ostatnia myśl więcej mię jeszcze oburzyła, jak poprzednia. Zdawało mi się, że nie mógłbym znieść widoku Petryka w dybach i bałem się ażebym się gdzieś przypadkiem na ten widok nie natknął. Szczęściem nie było obawy, umieszczono go nie we dworze, ale w karczmie, gdzie go dozorujący chłopi częstowali wódką, pocieszając jak umieli.

Wieczorem, kiedym szedł spać, powiedziano mi, że już nazajutrz rano powiozą Petryka do powiatowego miasta, gdzie zasiadała komisja poborcza. Ta myśl, że go już nigdy więcej nie obaczę, tak silnie zakołatała teraz do mego serca, że położywszy się, długo płakałem pod kołdrą i dopiero wtedy uspokoiłem się trochę, kiedym sobie postanowił wstać nazajutrz rano jak najwcześniej i pobiedz zaraz do karczmy, aby pożegnać Petryka.

W istocie nazajutrz rano zerwałem się wcześniej, jak zwykle, bo jeszcze przed szóstą i nie czekając na wyczyszczenie butów i wodę do mycia, ubrałem się co prędzej i co żywo najbliższą drogą przez ogród warzywny, to bruzdami, to sadząc przez grzędy popędziłem na wieś w stronę karczmy. Ranek był świeży, czysty, pogodny, ziemia świeżo zbudzona do życia słonecznego dyszała jeszcze resztkami chłodu nocnego, na trawach perliły się wielkie krople rosy!

Kiedym do pasa zaroszony przełaził przez płot ogrodowy, aby się dostać na drogę, z zakrętu, jak błyskawica wypadła Tatiana. Zaniepokojony jej pospiechem, zawołałem do niej z płota: Gdzie Petryk?

Zwróciła twarz ku mnie, błysnęła dużemi oczami, ale nie mogła mówić i tylko skinęła ręką przed siebie. Zrozumiałem ten znak: Petryka już powieźli. Skoczyłem z płotu i puściłem się cwałem w ślad za dziewczyną, która zwróciła się zaraz w bok, aby ścieżką przez łąkę dostać się do drogi, zanim tam przybędą chłopi z Petrykiem, jadący dłuższą drogą. Dziewczyna leciała jak ptak, jej bose nogi błyskały z pod niebieskiej spódniczki, która się w pędzie rozwijała i migała w różne strony jak chorągiewka. Niepodobna mi było jej dopędzić; uczułem brak tchu i musiałem zwolnić biegu.

Wtem nagle z za zboża wysunęła się czwórka koni wporącz zaprzężona, a za nią duży wóz, na którym siedział Petryk, a obok niego czterech chłopów, licząc w to woźnicę. Tatiana, która już była tylko o jakie paręset kroków od drogi, ujrzawszy wóz, zatrzymała się, krzyknęła rozpaczliwie: stójcie! i znów puściła się naprzód. Ja także dobyłem wszystkich sił i podwoiłem biegu, Petryk zobaczył nas, podniósł się na wozie, coś mówił do chłopów, byłem pewny, że się wóz zaraz zatrzyma, gdy wtem woźnica, a był nim ojciec Dawida, zaciął mocno konie, i te dotychczas truchtem biegnące, puściły się wytężonym kłusem. Podniósł się wielki obłok kurzawy, wóz zadudnił na moście, potem jeszcze żwawiej potoczył się po lekko pochyłej drodze, potem schował się w wąwóz pod tą samą górą, na której wczoraj Petryka złapano i zginął dla oczu naszych na zawsze.

Kiedym przybiegł nad drogę, bieliła się już gładka, cicha i pusta. Pył opadł, turkot umilkł, tylko skowronek bujał w powietrzu wilgocią łąk nasyconem i radośnie wyspiewywał. W trawie nade drogą leżała Tatiana z głową opartą na rękach konwulsyjnie splecionych a z piersi jej wyrywały się głuche, ciężkie łkania.

* * *

W dziesięć lat potem spotkałem Petryka w pewnem małem miasteczku na Wołyniu, przez które przejeżdżałem wracając z wakacji do Kijowa, już jako student uniwersytetu. Przypadkiem zaszedł do zajazdu, gdzie stałem i od furmana dowiedziawszy się, skąd jestem, poznał mię i przypomniał mi się. Przepaść dziesięciu lat leżała między nami, a głębsza jeszcze przepaść życia, którem żył Petryk przez te lat dziesięć. Zmężniał, zesztywniał, znikła z oczu dawniejsza wesołość i uprzejmość, ruchy nabrały żołnierskiej ostrości; nic w nim prawie nie było z dawniejszego Petryka. Z żalem potrzałem na niego i trudno mi było uwierzyć, żeby to był ten sam młody i zwinny chłopak, który mi niegdyś wyplatał kapelusze ze słomy i podsadzał na konia, ten sam czarodziej, który odmykał przedemną fantastyczne światy, pełne blasków i cudów. Życie żołnierskie wycisnęło już było na nim swój gruby, surowy stempel i tylko pewien cień smutku, który się z pod martwości żołnierskiej przebijał, zdawał się świadczyć, iż gdzieś na dnie pamięci tlały w nim jeszcze resztki wspomnień z owej lekkiej młodzieńczej przeszłości, po której presunęło się brzemię dziesięciu ciężkich miedzianych lat ówczesnej służby wojennej w Rosji.

LEONARD CHODŹKO
I JEGO PRACE
KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

XXVI.

Przed jego powrotem do Francji rodacy nasi czuli jego brak po różnych zakładach i to tem bardziej, że była to chwila całkowitego rozprzężenia. To też w imieniu departamentu Taro A. *Gawroński*, Albert *Darasz*, A. *Szyndler* i pisarz Erazm *Kurzewski* dali mu upoważnienie do działania i przemawiania w imieniu Polski. Oto wyjątek z listu tego danego w (Castres) Kastr z 22 lutego 1834: „Przekonanie, że w dzisiejszym stanie rzeczy nie mamy i nie możemy mieć komitetu, któryby wszelkim włożonym na siebie obowiąz-

kom, dotąd najlepiej przez ustawę z le Piui (*Le Pui*) określonym, zadość odpowiedział, wskazuje nam konieczność obmyślenia innego sposobu aby zaradzić potrzebom, jakie już i czuć się dają i wyniknąć później mogą. Najlepszym niechybnie do tego środkiem jest czuwanie samej emigracji nad sobą; ona sama zawsze swą wolę oświadczać powinna, a ta ma być prawem. Korzyści z tego są aż nadto jasne, abyśmy je tu przytaczać potrzebowali. Spowodowani temi uwagami i *pragnąc zniweczyć działania arystokratów, którzy nas coraz w nowe sidła pragną uwikłać*, obieramy za pośrednika między rządem francuskim a nami, tak nazwany komitet. Do niżej zaś wyraźnych obowiązków powołujemy różne osoby, nietylko w Paryżu, nietylko we Francji, ale po Europie *rozprószone osoby, które nam dały rękojmię nieskażonego postępowania i opinji zgodnej z naszą.*"

Już w redagowaniu tej odezwy dostrzega sie wielka zmiana pojęć w ogóle emigracyjnym. Dawniej dawały się mandaty, pełnomocnictwa do działania w imieniu narodu i wychodźctwa, teraz ogół z *Jaru* zastrzega, nauczony doświadczeniem: „Wszelkie artykuły lub kroki, umieszczone lub przedsiębrane tylko będą w imieniu naszem wtedy, gdy albo sami zawezwiemy, albo damy na to zezwolenie wskutek przedstawionej nam potrzeby". A takie zastrzeżenie robią ci co polecają: „1) przemawiać do ziomków pozostałych na ziemi starodawnej Polski, utrzymywać w nich ducha i nadzieję; 2) przez odezwy budzić w ludach ku sprawie naszej przychylność; 3) zbijać pismami artykuły ogłaszająae o naszej sprawie fałsze, potwarzające Polskę, lub wykrzywiające o niej europejską opinję". Ludzie zawezwani do tej patrjotycznej posługi mieli zasięgać wiadomości o funduszach narodowych i ofiarowanych wychodźcom przez przyjaciół Polski, udawać się do rządów w potrzebach wychodźtwa i „zresztą mieć nieustanną baczność na to wszystko, co się dobra emigracji, ojczyzny i ludzkości dotyczyć może".

Za wielki to może zakres działania włożony na kilka osób, by jasno określał obowiązki; chociaż mocodawcy wzywając Chodźkę kończą: „Oto są, obywatelu, obowiązki do spełnienia których przez departament nasz powołany jesteś, gruntując się na poświęceniu twojem dla ojczyzny i ludzkości, jakiego dowodów nam dawać nie przestajesz, pewni jesteśmy, że nam tej obywatelskiej przysługi odmówić nie zechcesz."

Zawarte tutaj pojęcia są niezmiernie charakterystyczne i wykazują jak wtedy już wielu emigrantów zapatrywało się na kraj i sądziło, że zdala można dobrze kierować i rządzić choć małą cząstką ziemi. Jestto odblask tej zasady, podniesionej później do dogmatu przez pewne stronnictwa, uległości działania w kraju powagom pokruszonym w dobrowolnem zrzeczeniu się walki w 1831 roku. A teorja ta niejednokrotnie później odezwała się przy późniejszych poruszeniach. Jakie zaś skutki sprawiła — wiemy powszechnie.

List ten zastał Chodźkę nad Tamizą jeszcze. Odpowiada nań on z Richmondu*), a jeżeli w tej odpowiedzi czuć, że mówi się do przyszłych członków centralizacji, to znowu wykazuje się sposób zapatrywania się samego autora, „Zgłębiając przyczyny tylorazowych upadków naszych od r. 1764; porównywując z zupełną skrupulatnością wypadki, dwie główne i najwalniejsze są: *niewyzwolenie ludu polskiego i zdrady arystokracji.* Ani historyk, ani spostrzegacz nie wybrną nigdy z tych dwóch głównych przyczyn współczesnych naszych nieszczęść. „Rządy i narody Europy wysłupione mając oczy na sprawę Polski, wywołaną przed sąd świata, po nocy 29. listopada, rozprawiały szeroko po niezliczonych pismach o przyczynach upadku naszej sprawy. *Zaledwie* upadła Warszawa i *zaledwie poczęli nadbiegać nad brzegi Sekwany ci, których interesem było gmatwać opinje o przyczynach upadku tejże sprawy polskiej*, sądziłem obowiązkiem moim odeprzeć z historją w ręku fałsze i potwarze i 24. października 1831 r. umieściłem list w najwięcej wówczas czytanym i rozchodzącym się dzienniku *Constitutionel*, dowodząc że *niewyzwolenie ludu i zdrady arystokracji*, najgłówniejszą są przyczyną upadku. Odzywając się do nadciągającej emigracji, aby pospieszyła *z wykryciem nowych zdrajców, niedołęgów i samolubów*, wzywałem aby przecięła w swem rozwijaniu się zarodki złego, jakie trapi od lat 3 nasze tułactwo... *Wiele głosów, wiele listów książęcych i hrabiowskich groziło mi zemstą w następstwie... intrygi i potwarze arystokracji* i jej zausznikow zrobiły to, żem pod pretekstem wymyślonego jakiegoś spisku przeciw istniejącemu rządowi był aresztowany i więziony przez dni 5... i wygnany naprzód z Paryża a nakoniec i z Francji."

Przy ówczesnym stanie rzeczy, „przy trudnościach codziennie wzrastających, wobec niesłychanych gwałtów, zuchwale dopełnianych przeciw tułactwu naszemu, nie jest łatwo otrzymywać regularnie i rychło wzajemne porozumienia się. To też na przemówienie w „imieniu drogiej ojczyzny i sprawy publicznej", dziękując za zaufanie Chodźko objaśnia: „Że głos wasz poważny, uczucia wasze polskie, *narodowo-republikańskie*, znajdą mię zawsze gotowego do odpowiedzenia na dzielne i patrjotyczne wezwanie". A z odpowiedzi tej nie mogę nie przytoczyć jeszcze jednego ustępu: „Przysłowie nasze polskie tak dawne i stare jak sama Polska: *mądry Polak po szkodzie*, dla tego zdaje się urosło, aby było powtarzane i przyznaczone bez żadnego pożytku dla rzeczy naszej publicznej. Po tylu licznych i krwawych klęskach, po tyloletnich usiłowaniach dla podźwignienia sprawy narodowej, niechby się choć raz jeden udało sprawdzić to przysłowie. Szukam pilnie w historji naszej epoki i daty, i nigdzie dojrzeć nie mogę, abyśmy byli *mądrzy po szkodzie*. Musi to być rzecz trudna, a może i niepodobna nawet, gdy sie nikomu jeszcze nie udało sprawdzić tego przysłowia... Zastanowiwszy myśl swoją, iż od tej chwili (Stan. Aug.) miały miejsce najpamiętniejsze czyny narodu naszego: działania partji republikańskiej w 1764, konfederacji Barskiej, sejmu Rejtanowskiego, sejmu czteroletniego, wojny 1792 i 1794, legiony polskie, działania 1806 1809, 1812, nareszcie powstanie 29. listopada, aż do momentu emigracji. Po każdym z tych tak przeważnych wypadków, trudno dostrzedz aby był mądry *Polak po szkodzie*. Albowiem *wszelkie najświętsze i najcnotliwsze usiłowania przez też same sposoby, a co gorzej i boleśniej, przez tych samych prawie ludzi były psowane, marnione i gubione.* Po tak niesłychanych i dolegliwych klęskach, po tak dobrze danych lekcjach, zdawało się, iż licznie zebrane tułactwo na ziemi francuskiej *otrząśnie się od razu z ludzi co zgubili sprawę narodową przez swoje niedołęztwo, złą wiarę lub zdradę; że zapomni* w emigracji *o imionach historycznych*, którym niedziw że wierzono nad Wisłą, gdy tu jeszcze mają zwolenników. Owóż 3 lata upłynęły. Wiemy już, obywatele! ile złego ci ludzie i te imiona na nowo nabroili! Ale jakże nagrodzić tak drogie chwile już upłynione; jak naprawić zło obrócone tak zręcznie na szkodę sprawy publicznej? Po 70 letnich pasowaniach się, po tylu naukach, możnaż twierdzić że jest *mądry Polak po szkodzie?*"

(C. d. n).

*) Richmond nad Tamizą. 20 marca 1834.

Z WYCIECZKI JUBILEUSZOWEJ.

III.

Nasze kresy zjawiły się jakby do broni zawezwane.

Byli tam bracia i z pod Smoleńska i z Inflant i z krańców Ukrainy i z Prus wschodnich i ze Szląska.

Skrajny Zachód scisnął rękę skrajnemu Wschodowi, Północ bratersko witała Południe.

Jeśli kiedy rozdawaliśmy szczere uściśnienia dłoni, to tym odwiecznym bojownikom, którzy bronią miedz naszych tym zahartowanym żołnierzom dobrej sprawy. Łatwo nam walczyć, otoczonym szeregami swoich, łatwo opierać się i znosić napad w tylnych szeregach.

Ale im!...

Na wschodzie wydzierają cały dobytek, zakazują mówić językiem ojców, wzbraniają młodzieży zdobywania wiedzy, każą kłaniać się geslerowskiej czapce na tyce zawieszonej. Na zachodzie wynarodawiają ich imieniem cywilizacji, ugniatają przewagą materjalną, podstępem wyrafinowanym, szacherką prawa i słuszności.

Lecz dzielnie i wytrwale stoją na swoich stanowiskach i jak tamy nadbrzeżne wstrzymują zapędy wzburzonego przeciw nam morza. I mimowoli nasuwa się na myśl nadpis obrazu Siemiradzkiego: *et lux in tenebris lucet et tenebrae eam non comprehenderunt.*

Nie poddadzą się!

Od tych naszych mieszkańców kresowych czerpano najwięcej otuchy na przyszłość, im najszczerzej i najgoręcej dłoń ściskano.

Szląsk jak zawsze najdzielniej się prezentował. Jakie ta ziemia przechodziła koleje, jakie pokusy przez lat półtysiąca! A jednak jak się trzyma, jaki tam postęp od lat niewielu, jaka wytrwałość w pracy, jakie przywiązanie do matczynego kraju!

Szlązacy przybyli w dość licznej deputacji. Widzieliśmy tam czcigodnego redaktora „Gwiazki Cieszyńskiej" Stalmacha, dzielnego notarjusza Kotulę i chłopa Glaiczara.

Stalmach należy do szeregu spokojnych a niestrudzonych pracowników. Życie całe strawił na utrzymywanie polskości w tym zakątku, zawsze umiał godzić zwaśnionych i on jeden potrafił wydawać pismo zadowalające tak protestantów jak i katolików. Dziś już, jak sam twierdzi, trudniej mu to idzie, siły ledwie wystarczają a lata mijają jedne po drugich, zbliża się wiek podeszły...

Mówiłem z nim o wyborach ostatnich i o ich nieszczęśliwym rezultacie. Jak wiadomo przeszedł kandydat anti-narodowy Obraczaj. Przyczyną tego, jak się pokazuje, było postawienie jako kandydata ks. Świeżego. Chłop protestant nigdy nie da głosu na księdza katolickiego i dlatego nie chciał głosować w tym wypadku na ks. Świeżego, mimo wyborczej umowy. Głosy rozstrzeliły się między trzech, Cienciałę, ks. Świeżego i Obraczaja, a przy ściślejszym wyborze wyszedł z urny ostatni.

Włościanin Glaiczar, z pod Cieszyna, sprawił wszystkim prawdziwą niespodziankę. Gdy na uczcie artystyczno-literackiej przemówił, zdawało się, że pod chłopskim kubrakiem kryje się orator skończony. Mowa jego prosta, ale wymowna, nie przygotowana, bo opierająca się na przemówieniach poprzednich mówców, tak płynęła z przekonania, tak była zacną a co przytem podaną w takiej formie skończonej, że słuchacze z podziwu wyjść nie mogli.

Treść tej mowy mniej więcej, ile spamiętać można było, następująca:

„Mówił tu jeden z panów, że chciałby mówić, ale mu nie wolno — mnie wolno mówić, ale nie umiem. Szląsk prastary jest niby dziecko odtrącone, za płot wyrzucone, któremu odmówiono pokarmu matki. Szlązakom wmawiają, że oni coś innego, że oni nie Polacy, ale my się garniemy do matki, tylko nie zapominajcie o nas, zaznajamiajcie naród z naszemi stosunkami, naszemi potrzebami. Nam wszystkiego odmawiają, a już najbardziej języka i trudno nam nawet reprezentanta swojego do rady państwa przeprowadzić. Więc wy posłowie polscy *musicie* się nami zajmować, bo my tem samem jesteśmy, co wy. My dźwigamy, co tylko możemy, czytelnie, bazary — ale łatwiej coś założyć, trudniej utrzymać i rozwijać. Więc o pamięć i o pomoc was błagamy".

I to mówił zwykły włościanin szląski!

Gdym później pytał Stalmacha, czy to wyjątek w waszym kraju, bo przecież trudno przypuścić, żeby takich wielu było i czy Glaiczar jest rzeczywiście zwykłym wiejskim gospodarzem?

— Panie — odpowiedział — przed laty kilkunastu Glaiczar zaledwie czytać umiał, dziś się wyrobił i to nie on jeden. Mamy takich już wielu, a na dobrej drodze znajdują się całe zastępy. Zobaczysz pan co będzie za lat kilkanaście!

Gdy sobie wobec tego przypomnimy nasz lud zaniedbany, to jakże jaskrawo, jak przygniatająco staje przed oczyma nasza wina, nasza wielka wina!

IV.

Niejaką sensację, chwilowe wzburzenie umysłów wywołała mowa Spasowicza, na bankiecie dla Kraszewskiego. Podajemy ją w całości, z manuskryptu Spasowicza, ponieważ chcemy *á propos* tej zrobić kilka uwag *ad usum* pewnej części naszego społeczeństwa.

Spasowicz tak mówił:

„W jedną chwilę zbiegło się i skropliło pół wieku wytrwałej pracy jednego znakomitego obywatela, co więcej, pół wieku niewesołego żywota jednego niemałego narodu. Możebym nie odważył się, drobna jednostka, pośród tysiąców zabrać głos w tej strasznie uroczystej chwili, gdyby przypadek i zbieg okoliczności nie kazały mi być tłumaczem życzliwych a szczerych uczuć nieobecnych ludzi. Mojemi usty weteran rosyjskiej literatury, uczeń Puszkina, Iwan Turgeniew podnosi toast za zdrowie weterana polskiej literatury, poety z okresu Mickiewicza. Twierdzę z pewnością, pisze Turgeniew, że w mojej osobie znakomita większość inteligentnej Rosji wyciąga rękę do Kraszewskiego. Jakkolwiekby chciano zamknąć dzisiejszy obchód uroczysty w ciasne karby narodowej wyłączności, wyłączność ta nie dotrzyma, stalowa obręcz pęka, akord staje się pełniejszy i do pieśni polskiej przybywają cichsze ale wyraźne nóty słowiańskie. Z bijącem sercem słuchałem wczoraj, jak się rozlegała z Sukiennic na rynek krakowski publicznie narodowa mowa ś. Wojciecha, fakt niesłychany od czasów Jagiellońskich. Ci pobratymcy zasiedli za stołem, innym nakazały czasowe okoliczności zająć odrębne stanowisko; nie stanęli tu sami, ale się upomnieli, aby ich przy tej uczcie wspomniano. Odpowiedź na to żądanie nam podają nasze narodowe poetyczne tradycje Wspomnijcie panowie jak przed laty śród słoty petersburskiej w wigilję powodzi stali pod jednym płaszczem dwaj młodzieńcy przed Piotra kolosem. Jeden z nich, Puszkin w 1834 r. wspominał z rozrzewnieniem przepowiednie Adama o tem, jak narody waśni się pozbywszy w jedną się rodzinę sprzęgą. A i nasz Adam rozwinął myśl tę samą określając nawet sposób międzynarodowego stosunku. Podał ją w obrazie tych skał alpejskich z tegoż granitu, które chylą ku sobie podniebne wierzchołki, choć je na wieki rozdzielił pęd wody, ledwie szum słysząc swej nieprzyjacółki. Niech się więc chylą ku sobie podniebne wierzchołki, lecz niech pamiętają, że je na wieki przedzielił pęd wody; niech pamiętają że łatwiej stać w rodzinie aniżeli jednemu, że lepiej być kilkoro, aniżeli jeden: niech pamiętają, że wedle słów patryoty czeskiego wyrzeczonych 1867 w Moskwie daleko piękniejszą i doskonalszą muzykę tworzą dziesięć dzwonów odzywających się jednocześnie z wieży kościelnej, aniżeli gdyby je zlano w jeden chociażby jak największy dzwon. Sądzę że nie będę pomówiony o zbytni optymnizm i marzycielstwo, gdy wypowiem proste życzenie;—wyrażać życzenie i stawiać cele od człowieka zależy: Skutek zawisł od okoliczności. Życzyłbym, aby gdy się nadarzy jutro czy za lat dziesięć albo za pięćdziesiąt podobna umysłowa uroczystość u ktoregokolwiek z ludów słowiańskich, aby zasiadły społem i przełamały się chlebem wszystkie gałęzie tego wielkiego szczepu".

Oto wszystko co Spasowicz powiedział.

Jakby coś fatalnego przywiązanem było do tego nazwiska, wnet, już na samej uczcie niezadowoliła niektórych współbiesiadników.

Ci którzy ją dobrze słyszeli i zrozumieli, przyjęli ją gorąco i serdecznie jako uczciwe i serdeczne słowa uczciwego człowieka.

Inni zarzucać jej zaczęli najrozmaitsze występki, wytworzone chyba w ich imaginacji. I tak naprzykład, twierdzono i krzyczano, że nam panslawizmu moskiewskiego zalecać nie należało i to zalecać w chwili tak uroczystej dla wszystkich Polaków.

Zalecać panslawizm którego apostołami moskiewscy diejatiele w Bułgarji i Polsce, systemat pochłaniający wszelką narodową odrębność i starający się zasymilować ją z rosjanizmem, zlać w jedno wielkie ciało? Przecież owe przypowieści o skałach z jednego kamienia chylących ku sobie podniebne wierzchołki, rozdzielonych jednak „na zawsze" pędem wody, o tych dzwonach dźwięczących harmonijnie razem i lepszą dających harmonję, niż gdyby je w jeden wielki dzwon zlano, nie zmierzają ku temu celowi i trzeba mieć spory zapas złej woli lub lekkomyślności, żeby zarzut ten ciskać w oczy Spasowiczowi.

Inni główny stawiają zarzut ostatniemu ustępowi, wyrażającemu życzenie, aby na przyszłość, kiedyś, jak okoliczności pozwolą, wszystkie słowiańskie kraje przysłały do takiej uczty współbiesiadników. Cóż w tem zdrożnego? Czyż nie możemy tego pragnąć gorąco, aby „gdy okoliczności pozwolą", gdy prawu stanie się zadość, gdy nam sprawiedliwość wymierzą, do jednej rodziny należące ludy podały sobie dłonie. Przecież to cel piękny i szlachetny, przeciw któremu ze stanowiska narodowego nic a nic zarzucić nie można, szczególnie ze względu na ów „pęd wody na zawsze skały dzielący chociaż chylą ku sobie podniebne wierzchołki"; a ze stanowiska ogólno ludzkiego należy mu się zupełne uznanie.

Zdaje nam się, że główną przyczyną niezadowolenia w tym wypadku było niedosłyszenie mowy.

To złe zrozumienie pociągnęło za sobą epizod uczty wcale komiczny.

Porwał się rektor uniwersytetu lwowskiego i z zapałem torreadora, głosem gromkim, tłumowi imponującym jął odpowiadać w zamaszystych frazesach, protestując iż „takiego zdrowia" pić nie będzie.

Jakiego zdrowia? Czyje zdrowie wznosił Spasowicz?

Zapał niekłamany a przesadny przemówienia Jego Magnificencji, przypomniał nam pewną anegdotkę, która wskutek jakiejś, nieuchwytnej assocjacji wyobrażeń nasunęła się nam podczas tej chybionej filippiki. Podajemy ją, zostawiając szukanie związku łaskawemu czytelnikowi.

Zjechali się parę lat temu Polacy z Węgrami w Mozö-Laborcz, czy gdzie indziej, już sobie nie przypominamy. Po rozmaitych przemówieniach wlazł na stół szlachcic poważnie wyglądający i z zapałem nieudanym, przemówił w te słowa:

„Wy, panowie bracia Węgry, i wy panowie bracia Polacy jesteście obaj szlachetnemi narodami i podajecie sobie przez góry dłonie! Lecz wy panowie bracia Węgrzy macie winnice, macie szlachetne wina, piękne kobiety, a my Polacy łzy, Sybir i kajdany!..."

Z PIEŚNI WOJENNYCH

Pawła Déroulède.

Kobieto! jeśli twoje spoczęły nadzieje
Na człowieku, co w tobie widzi szczęście całe,
Jeśli on dla Ojczyzny swej obojętnieje
I na miłości tylko swą zasadza chwałę,
Jeśli nie gardząc sobą — do boju nie ruszy
Gdy Ojczyzna w nieszczęściu upada zbolała,
Kobieto! tyś truciznę wlała do tej duszy!
On umierać — a tyś go kochać nie umiała.

Matko! jeśli twe dziecię rosnąc na człowieka
Chwiejnym, kobiecym krokiem w drogę życia dąży,
Jeśli od niebezpieczeństw ze zgrozą ucieka,
A krew zimna praktyczna w żyłach jego krąży,
Jeżeli w chwili którą honor Francji wzywa,
Nie zechce być żołnierzem i broń w rękę włożyć,
Źle kształciłaś tę duszę, matko nieszczęśliwa!
On umierać — a tyś go nie umiała stworzyć.

J. P.

TEN MAŁY

POWIEŚĆ

ALFONSA DAUDETA

przekład

Wincenty Limanowskiej.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Sprawa Boucoyran'a.

Z dniem świętego Teofila wakacje pogrzebane zostały.

Dnie, które nastąpiły potem, smutne były jak po tłustym wtorku. Nikt nie był w humorze, ani nauczyciele, ani uczniowie. Rozkładano się... Po dwóch długich miesiącach odpoczynku, kolegium z trudnością wracało do zwykłego porządku. Koła maszyny ciężko obracały się, jak w starym zegarze, który dawno nakręcano. Powoli jednak, dzięki usiłowaniom pana Viot'a, wszystko do dawnego wracało trybu. Każdego dnia, o jednej i tejże godzinie, na odgłos jednego dzwonu, małe drzwi, wychodzące na dziedziniec, otwierały się i szeregi dzieci sztywnych jak drewniane żołnierze przesuwały się parami; potem dzwon odzywał stę znowu: dyn! don! i te same dzieci wracały przez te same drzwi małe. Dyn! don! Wstawajcie! Dyn! don! Kładźcie się! Dyn! don! uczcie się! Dyn! don! bawcie się! I tak cały okrągły rok.

O tryumfie regulaminu! Jakże uczeń Ménalque byłby szczęśliwym, gdyby mógł żyć pod rozkazami pana Viot'a we wzorowem kolegium Sarlande!...

Ja jeden tylko rzucałem cień na ten obraz. Nie mogłem przyjść do ładu z oddziałem moim. Straszni średni wrócili do mnie z gór swoich brzydsi, dziksi, straszniejsi niż kiedy. Ja także byłem rozjątrzony; choroba uczyniła mię nerwowym i drażliwym; nie mogłem znosić nic... Nadto łagodny w roku przeszłym, w tym roku stałem się nadto surowym... Spodziewałem się, że tak poskromię złośliwych hultajów, i za najmniejszą swawolę na oddział cały sypały się pokuty i areszta.

Ten system nie powiódł mi się. Kary, za często wymierzane, straciły znaczenie swoje, i tak nisko spadły jak papierowe pieniądze roku IV... Pewnego dnia uczułem się pokonany. Oddział cały zbuntował się, a mnie zabrakło amunicji; nie mogłem stawić czoła rokoszowi. Żywo to pamiętam, jak gdybym widział siebie jeszcze na katedrze mojej, rzucającego się jak warjat, pośród krzyków, płaczu, stuku, syczenia: „Za drzwi!... Kukuryku!... kss!... kss... Precz z tyranem!... To niesprawiedliwość!...“ I kałamarze latały, gałki żutego papieru przyklejały się do pulpitu mego, i wszystkie te małe potwory, pod pozorem reklamacji, zawieszały się jak grona na katedrze mojej, wyjąc na podobieństwo małp.

Czasami, nie wiedząc co począć, wzywałem na pomoc pana Viot'a. Co za upokorzenie! Od dnia świętego Teofila człowiek z kluczami okazywał się źle usposobionym dla mnie, i czułem, że zadowolony był z mojej niedoli... Kiedy wchodził nagle do klasy z kluczami swymi w ręku, to tak jak gdyby kamień wpadł do stawu z żabami: w jednem mgnieniu oka wszyscy byli na swem miejscu, z nosami utkwionymi w książki. Jak mak zasiał! Pan Viot przechadzał się chwilkę wzdłuż i wszerz, potrzęsając pękiem kluczy swoich przy największej cichości; potem popatrzał na mnie ironicznie i, nic nie mówiąc, wychodził.

Byłem bardzo nieszczęśliwy. Korepetytorowie, moi koledzy, wyśmiewali się ze mnie. Dyrektor, kiedy zdarzyło mi się spotkać z nim, okazywał mi niezadowolenie; musiał się przyczynić do tego pan Viot... Na dobitkę przyszła sprawa Boucoyran'a.

Oh! ta sprawa Boucoyran'a! Jestem przekonany, że pamięć o niej przechowała się dotąd w rocznikach kolegium, i że Sarlandczycy do dziś dnia mówią o tem... Ja także chcę o niej mówić, o tej strasznej sprawie. Wielki już czas, by prawda wyszła na jaw...

Piętnaście lat, grube nogi, wielkie oczy, wielkie ręce, brak zupełny czoła i układ parobka: takim był pan markiz Boucoyran, postrach dziedzińca średnich i jedyna próbka sewenolskiej szlachty w kolegium Sarlande. Dyrektorowi bardzo chodziło o ucznia tego, obecność jego bowiem nadawała pewną arystokratyczną cechę zakładowi jego. W kolegium nazywano go krótko „markizem“. Wszyscy się go bali; ja sam ulegałem powszechnem wpływowi i bardzo ostrożnie postępowałem z nim.

Czas jakiś na dobrej stopie byliśmy z sobą.

Pan markiz pozwalał sobie wprawdzie od czasu do czasu inpertynencko patrzeć na mnie lub odpowiadać niewłaściwie; ale udawałem, że nie spostrzegam tego, czując, że mam do czynienia z silnym przeciwnikiem.

Pewnego dnia jednak błazen ten wobec całego oddziału odpowiedział mi z taką zuchwałością, że straciłem do reszty cierpliwość.

— Panie de Boucoyran — rzekłem starając się zachować krew zimną, proszę zabrać książki swoje i wyjść ztąd natychmiast.

Rozkaz ten wydał się niepojętym młodemu hultajowi. W osłupieniu patrzał na mnie wielkiemi swemi oczyma i nie ruszał się z miejsca.

Wiedziałem, żem się wplątał w niegodziwą sprawę; ale tak daleko zaszedłszy, nie mogłem już cofnąć się.

— Proszę wyjść, panie de Boucoyran! — powtórzyłem znowu.

Uczniowie niespokojni oczekiwali, co dalej będzie... Po raz pierwszy zdobyłem ciszę.

Po tym drugim rozkazie, markiz, przyszedłszy do siebie, odpowiada mi — trzeba było słyszeć jakim tonem: — „Nie wyjdę!“

Między uczniami przebiegł szmer podziwu. Oburzony, powstałem z krzesła mego.

— Nie wyjdziesz pan?... Zobaczymy!

I zszedłem z katedry.

Bóg mi świadkiem, że myśl jakiegokolwiek bądź gwałtu daleką była w tej chwili odemnie; stanowczem tylko zachowaniem się chciałem zastraszyć markiza; ale ujrzawszy mię schodzącego z katedry, począł szydzić tak pogardliwie, że zrobiłem ruch taki, jak gdybym go chciał wziąć za kołnierz i wyrzucić z ławki...

Nędznik chował pod suknię ogromną żelazną linię. Zaledwiem podniósł rękę, on zadał mi nią cios straszliwy. Krzyknąłem z bolu.

Wszyscy uczniowie klasnęli w ręce.

— Brawo, markizie!

Tu już straciłem cierpliwość. Jednym skokiem znalazłem się na stole, a drugim na markizie; i chwyciwszy go za gardło, tyle dokazałem nogami, pięściami, zębami, wszystkiem, żem go wysadził z miejsca i wyrzucił z klasy aż na środek podwórza... Stało się to w jednej sekundzie; nigdym nie przypuszczał w sobie tyle siły.

Uczniowie zmięszali się. Nie wołano już: „Brawo, markizie!“ Strach padł na wszystkich. Boucoyran, silny nad silnymi zwyciężony przez tego małego piona!... Co za awantura! Zyskałem na władzy tyleż, co markiz stracił na uroku.

Kiedy wróciłem na katedrę moją, blady jeszcze i drżący ze wzruszenia, wszystkie twarze szybko pochyliły się ku pulpitom. Oddział cały został pokonany. Ale dyrektor, ale pan Viot, co oni pomyślą sobie o tej sprawie? Jakto! ośmieliłem się podnieść rękę na ucznia! na markiza de Boucoyran! na szlachcica kolegium! Czyż chciałem, żeby mię wypędzono!

Myśli te, które przychodziły mi trochę za późno, zmniejszyły przyjemność odniesionego tryumfu. Uczułem przestrach i ja także z kolei. Mówiłem sobie: „Niezawodnie markiz poszedł skarżyć się.“ I co chwila spodziewałem się ujrzeć wchodzącego dyrektora. Drżałem aż do końca lekcji; ale nikt nie przyszedł.

Podczas rekarecji zdziwiłem się bardzo, ujrzawszy Boucoyron'a śmiejącego się i bawiącego wraz z innymi. To mię uspokoiło cokolwiek; a że dzień cały minął spokojnie, wyobraziłem sobie, że mój panicz milczeć będzie, i że skończy się na strachu.

Na nieszczęście, następny czwartek był dniem, w którym uwalniano uczniów do domu. Wieczorem, pan markiz nie wrócił do sypialni. Miałem jak gdyby przeczucie i nie spałem noc całą.

Nazajutrz, w czasie pierwszej lekcji, uczniowie szeptali między sobą, patrząc na opróżnione miejsce Boucoyran'a. Umierałem z niepokoju, chociaż starałem się nie pokazać tego po sobie.

Około godziny siódmej drzwi się otworzyły raptownie. Wszystkie dzieci powstały.

Byłem zgubiony...

Najprzód wszedł dyrektor, za nim pan Viot, nakoniec wysoki pan w surducie zapiętym po szyję, z szerokim na cztery palce stojącym kołnierzem. Tego nie znałem, ale domyśliłem się zaraz, że jest to pan Boucoyran ojciec. Kręcił swój długi wąs i mruczał przez zęby.

Nie miałem nawet odwagi zejść z katedry na przyjęcie tych panów; oni też, wchodząc nie skłonili mi się wcale. Wszyscy trzej stanęli na środku klasy i aż do końca bytności swojej ani razu nie spojrzeli w stronę moją.

Dyrektor pierwszy przypuścił atak, dał ognia.

— Panowie—rzekł zwracając się do uczniów, przychodzimy tutaj w sprawie przykrej, bardzo przykrej. Jeden z waszych korepetytorów dopuścił się winy tak wielkiej, że musimy ukarać go publiczną naganą.

Poczem zaczął głosić ową publiczną naganę, która trwała przynajmniej kwadrans. Wszystkie fakta przekręcono. Markiz był najlepszym uczniem kolegium, obszedłem się z nim po grubiańsku bez żadnej przyczyny; niczem wytłumaczyć się nie byłem w stanie. Nakoniec postąpiłem wbrew wszystkim obowiązkom moim.

Cóż miałem odpowiedzieć na te oskarzenia?

Od czasu do czasu usiłowałem bronić się: „Przepraszam, panie dyrektorze...“ Ale dyrektor nie słuchał mię i z naganą swoją dojechał aż do końca.

Po nim pan Boucoyran zabrał głos i w jakiż sposób!... Jak prawdziwy prokurator. Nie-

szczęśliwy ojciec! Prawie zamordowano mu dziecię. Na małą tę bezbronną istotę rzucono się jak... jak... jakże to powiedzieć?... jak bawół, jak dziki bawół. Od dwóch dni dziecko leży w łóżku. Od dwóch dni matka we łzach cała czuwa nad nim...

Ah! gdyby to sprawa była z mężczyzną, on to wówczas, Boucoyran ojciec, pomściłby dziecię swoje! Ale któż to popełnił. Malec nad którym trzeba mieć litość. Jednakże ten malec niech zapamięta sobie: gdyby kiedy jeszcze ośmielił się palcem dotknąć syna jego, wówczas obcięto by mu uszy bez najmniejszego wahania...

Podczas tej pięknej przemowy uczniowie śmieli się ukradkiem, a klucze pana Viot'a drżały z przyjemności. Stojąc na katedrze swojej, blady z gniewu, biedny Mały słuchał tych wszystkich obelg, połykał wszystkie te upokorzenia i nie odpowiadał nic. Gdyby odpowiedział, wypędzono by go z kolegium; a gdzie wówczas udałby się? Nie mówił więc nic, ale ciężko mu bardzo było na sercu, upewniam was...

Nakoniec, po całej godzinie przedstawienia tego, kiedy wymowa tych panów wyczerpała się, wszyscy trzej wynieśli się. Za nimi w klasie powstał hałas okropny. Naprożno nakazywałem milczenie; dzieci śmiały mi się w nos. Sprawa Boucoyran do reszty zabiła powagę moją.

Oh, była to strasza sprawa!..

Całe miasto poruszyło się..... W Małem, w Wielkiem kasynie, w kawiarniach, na muzyce, nigdzie o niczem więcej nie mówiono. Ludzie dobrze powiadomieni opowiadali takie szszegóły, że aż wolsy powstawały na głowie. Zdaje się, że ten korepetytor był to potwór, ludożerca. Dręczył dziecko z niesłychanem, wyrafinowanem okrucieństwem. Mówiąc o nim, nazywano go po prostu: „katem".

Kiedy młody Boucoyran uprzykrzył siobie leżenie w łóżku, rodzice umieścili go na kanapce, na najwidoczniejszem miejscu w salonie, i przez cały tydzień nieskończona procesja ciągnęła się przez ten salon. Zajmująca ofiara była przedmiotem powszechnego współczucia.

Dwadzieścia razy z rzędu kazano mu powtarzać historją jego, i za każdym razem nędznik wymyślał do niej jakiś nowy szczegół. Matki drżały; stare panny nazywały go: „biednym aniołem" i podsuwały mu cukierki. Dziennik opozycji skorzystał z okoliczności i piorunował przeciwko kolegium na korzyść religijnego zakładu, będącego w okolicy....

Jednem słowem, sprawa ta wielki miała rozgłos. Dyrektor wściekły był, i jeżeli nie odprawił mię, zawdzięczałem to jedynie protekcji rektora... Niestety! lepiej byłoby dla mnie, gdyby mię zaraz odprawiono. Życie moje stało się nie do zniesienia w kolegium. Dzieci nie słuchały mię wcale; za najmniejszem słowem groziły mi, że zrobią tak jak Boucoyran i poskarżą się rodzicom. Przestałem wreszcie zupełnie zajmować się niemi.

Wśród tego wszystkiego jedno tylko miałem na myśli zemścić się nad Boucoyran'ami. Wciąż widziałem przed sobą impertynencką twarz starego markiza, i uszy moje wciąż jeszcze czerwone były od uczynionej im groźby. Zresztą, gdybym był nawet chciał zapomnieć o tej hańbie, nie mogłem dokazać tego. Dwa razy na tydzień, w dniu przechadzki, kiedy oddziały przechodziły przed kawiarnią Biskupstwa, pan de Boucoyran ojciec stał we drzwiach w gronie oficerów garnizonu; wszyscy zgołą głową i z kijami bilardowymi w rękach. Z daleka już patrzali na nas, śmiejąc się szydersko; potem, kiedy oddział zbliżył się ku nim, markiz wołał bardzo donośnie, spoglądając na mnie wyzywająco: „Dobrydzień, Boucoyran!"

— „Dzień dobry ,ojcze!" piszczał ohydny dzieciak z pośród szeregów. Ci oficerowie, uczniowie, służący kawiarni, wszyscy śmieli się...

„Dzieńdobry, Boucoyran!" stało się torturą dla mnie, a nie miałem sposobu uniknięcia jej. Idąc na łąkę, trzeba było koniecznie przechodzić mimo kawiarni Biskupstwa, mój prześladowca nie opuścił ani jednej zręczności pastwienia się nademną.

Chwilami brała mię szalona chęć wyzwania go; dwie przyczyny zawsze mię zatrzymywały: najprzód obawa, by mię nie wypędzono, powtóre szpada markiza, ogromna djablica, która tyle ofiar położyła, kiedy markiz był w gwardji.

Jednakże pewnego dnia, przyprowadzony do ostateczności udałem się do Rogiera, fechmistrza, i oświadczyłem mu wręcz, że zamierzam bić się z markizem. Rogier, z którym oddawna nie rozmawiałem już, słuchał mię z początku z pewną nieufnością; ale kiedy skończyłem, wówczas z wielkiem wylaniem gorąco uścisnął mi obie ręce.

— Brawo, panie Danielu! Wiedziałem dobrze, iż z tą twarzą swoją nie mogłeś być szpiegiem. Ale po cóż u djabła zawsze się trzymałeś poły tego swego pana Viot'a? Nakoniec, dajesz się poznać; wszystko zapomniane! Daj rękę! Masz serce szlachetne!... A teraz mówmy o twojej sprawie! Byłeś znieważony? Dobrze! Chcesz się pomścić? Bardzo dobrze. Nie umiesz robić bronią, ani a, ani b? Dobrze! dobrze! bardzo dobrze! bardzo dobrze! Nie chcesz, ażeby ten stary indyk naszpikował cię? Doskonale! Przychodź do sali, a za pół roku, ty go naszpikujesz!

Słysząc, z jakim zapałem ten nieoceniony Rogier bierze do serca sprawę moją, rumieniłem się z zadowolenia. Umówiliśmy się o lekcje: trzy godziny w tygodniu; umówiliśmy się też o cenę ich, która miała być wyjątkowa (wyjątkowa w istocie! pożniej już dowiedziałem się, że kazano mi płacić dwa razy drożej aniżeli innym). Kiedy wszystko już ułożonem zostało, Rogier poufale ujął mię pod rękę.

— Panie Danielu, rzekł, dzisiaj zapóźno już na lekcją, ale któż nam broni dobić targu w kawiarni Barbette?... Nie bądź że dzieckiem! czy nie boisz się czasem kawiarni Barbette?... Chodź, do licha! Wyrwijże się na chwilę z tej dziury bakałarskiej! znajdziesz tam przyjaciół, poczciwych chłopców, do stupiorunów! szlachetne serca! W ich towarzystwie prędko pozbędziesz się tego kobiecego układu, który ci szkodę przynosi."

Niestety! dałem się skusić. Poszliśmy do kawiarni Barbette. Jak dawniej, było w nim pełno hałasu, dymu, spodni czerwonych; te same kaszkiety, te same pasy wisiały na tych samych hakach.

Przyjaciele Rogiera przyjęli mię z otwartemi ramionami. Miał słuszność. wszystko to były szlachetne serca! Kiedy dowiedzieli się o mojej historji z markizem i o postanowieniu jakie powziąłem, każdy z nich z kolei uścisnął mi rękę: „Brawo młodzieńcze! Bardzo dobrze!

Ja także byłem szlachetnem sercem! Kazałem podać ponczu, wybito go na rachunek przyszłego tryumfu mego, i między szlachetnemi sercami postanowionem zostało, że zabiję markiza de Boucoyran w końcu roku szkolnego.

X.
Czarne dni.

Nadeszła zima; zima sucha, straszna, czarna, jak zwykle w tych okolicach górskich. Podwórza kolegium smutnie wyglądały ze swemi wielkiemi drzewami, ogołoconemi z liści i z ziemią zamarzłą, twardą jak kamień. Wstawano przededniem, przy świecach; w umywalniach był lód... Uczniowie nie mogli dać sobie rady; dzwonek po razy kilka musiał wzywać ich." „Prędzej, panowie", mówili nadzorcy chodząc wzdłuż i wszerz dla rozgrzania się... Szeregi w milczeniu formowały się jako tako, i zstępowano na dół po wielkich schodach zaledwie oświeconych i długich korytarzach, gdzie świstał przenikliwy wiatr zimowy.

Zła to była zima dla tego Małego!

Przestałem pracować. W klasie przykre gorąco pieca usypiało mię. W godzinach wolnych nie chciałem siedzieć w izdebce mojej, gdzie zimno dokuczliwem było, i biegłem do kawiarni Barbette, w której siedziałem do ostatniej chwili. Tam to Rogier dawał mi lekcje; chłód wypędził nas z sali fechtunku; ćwiczyliśmy się na środku kawiarni bilardowymi kijami, popijając poncz. Podoficerowie wydawali sąd o cięciach; wszystkie szlachetne serca stanowczo przypuściły mię do zażyłości z sobą, i codziennie wskazywały mi jakieś niezawodne pchnięcie, którem miałem zgładzić ze świata owego biednego markiza. Uczyli mię także jak trzeba przyrządzać piołunówkę; a podczas kiedy ci panowie grali w bilard, ja znaczyłem punkta...

Zła to była zima dla tego Małego!...

Otóż, jednego dnia tej smutnej zimy w chwili kiedy wchodziłem do kawiarni Barbette — oh! Boże! słyszę jeszcze stuk bilardu i trzask wielkiego kaflowego pieca — Rogier podszedł do mnie szybko: „Dwa słowa, panie Danielu" — i poprowadził mię w głąb sali, z miną bardzo tajemniczą.

Chodziło o miłosną sprawę... Możecie sobie wyobrazić, jak dumny byłem, słuchając poufnych zwierzeń człowieka tego wzrostu. Zawsze to trochę i moją powiększało figurkę.

Oto jak się rzecz miała. Ten bałamut fechmistrz spotkał był w mieście w pewnem miejscu, którego nie mógł wymienić, pewną osobę, w której się szalenie zakochał! Osoba ta zajmowała w Sarlande stanowisko tak wysokie — hum! hum! rozumiecie mię dobrze — tak nadzwyczajne, że fechmistrz dotąd jeszcze sam nie pojmował jak się ośmielił podnieść oczy tak wysoko. A jednak, pomimo stanowiska tej osoby — stanowiska tak wyniosłego, tak... itd... — miał nadzieję pozyskania wzajemności, a nawet nadeszła chwila, jak mu się zdawało, stosowna do przesłania listownego oświadczenia się. Na nieszczęście, fechmistrze nie mogą pochlubić się zręcznem władaniem pióra. Gdybyż jeszcze chodziło o gryzetkę; ale z osobą na stanowisku tak itd. itd., trzeba stylu nielada, zdałby się nawet dobry poeta.

— Widzę już, o co chodzi — rzekł ten Mały z domyślną miną — potrzebujesz kilku miłosnych bilecików i do mnie się z tem udajesz.

— Tak jest w istocie, rzecze fechmistrz.

— A więc dobrze, Rogierze, będę ci służył; zaczniemy, jak tylko zechcesz; ale ażeby listy nasze nie wyglądały, jak gdyby przepisane

z *Podręcznego sekretarza*, musisz mi udzielić niektórych szczegółów o tej osobie...

Fechmistrz oglądnął się do koła z miną nieufną, poczem rzekł mi z cicha, wsuwając wąsy swe do mego ucha:

— Jest to blondynka z Paryża. Pachnie jak kwiat i nazywa się Cecylja.

Nie mógł mi więcej powiedzieć, ponieważ stanowisko osoby — stanowisko tak itd... — ale i te słów kilka wystarczające dla mnie były i tegoż wieczora w klasie napisałem pierwszy list do Cecylji.

Szczególna ta korespondencja między tym Małym a tajemniczą osobą trwała miesiąc prawie. Przez miesiąc pisywałem w przecięciu dwa listy miłośne na dzień. Niektóre z tych listów były czułe i powiewne jak Lamartine'a do Elwiry, inne znowu płomienne i burzliwe jak Mirabeau do Zofji. Jedne zaczynały się temi słowy: „O Cecyljo, niekiedy na dzikiej skale...“ a kończyły tak: „Powiadają, że się umiera od tego—spróbujmy!“ Od czasu do czasu Muza wtrącała się do rozmowy:

Oh! twe usta, twe usta palące!
Daj mi je! Daj mi je!

Dzisiaj mówię o tem, śmiejąc się, ale wówczas ten Mały nie śmiał się, upewniam was, i wszystko to robiło się bardzo na serjo. Napisawszy list, oddawałem go Rogierowi, by go przepisał swoim pięknym charakterem podoficera, on ze swojej strony, otrzymawszy odpowiedź (odpowiadała, biedaczka!), przynosił mi ją zaraz, i na tem opierałem dalsze moje słowa.

W ogóle gra ta podobała mi się; może nawet zanadto podobała. Ta niewidzialna blondynka, pachnąca jak biała lilja, nie wychodziła mi z głowy. Niekiedy, wyobrażałem sobie, że piszę na mój własny rachunek; listy napełniałem czysto osobistemi zwierzeniami, przekleństwami na przeznaczenie, na te niskie i nikczemne istoty, między któremi musiałem żyć: „O Cecyljo, gdybyś wiedziała, jak potrzebuję miłości twojej!“

Czasami także, kiedy wielki Rogier, muskając wąsa, mówił do mnie: Posuwa się sprawa, posuwa!... Pisz dalej — tajemna złość porywała mię, i myślałem sobie: „Jak ona może wierzyć temu, że ten gruby, ten wiecznie zadowolony z siebie elegant fanfaron pisze do niej takie arcydzieła namiętności i melancholji.“

Wierzyła jednak; wierzyła tak dalece, że pewnego dnia fechmistrz tryumfująco podał mi odpowiedź, którą właśnie był odebrał od niej: „O dziewiątej godzinie wieczorem, dzisiaj, za podprefekturą.“

Komu Rogier zawdzięczał powodzenie swoje? wymownym listom moim czy długim swym wąsom? Rozstrzygnijcie piękne panie. Bądź co bądź, tej nocy Daniel Eyssette bardzo niespokojny miał sen w swej smutnej sypialni. Śniło mu się, że był wysokim, ogromnego wzrostu, że miał wąsy, i że panie z Paryża, będące na stanowisku bardzo nadzwyczajnem, wyznaczały mu schadzki za pod-prefekturą.

A co najkomiczniejsze, nazajutrz musiałem napisać dziękczynny list i błogosławić Cecylję za szczęście, które mi dała! „Aniele, zgodziłaś się przepędzić noc jedną na ziemi...“

List ten — wyznaję — ten Mały napisał z wściekłością w sercu. Na szczęście, korespondencja urwała się na tem, i przez czas jakiś nie słyszałem już nic ani o Cecylji, ani o jej wysokiem stanowisku. (C. d. n.)

JAK CZŁOWIEK DAWNIEJ WIDZIAŁ BARWY?

Głównym rezultatem badań przyrodniczych w ostatnich kilku dziesiątkach lat, jest zdobycie przekonania, iż wszystkie istoty organiczne, a więc i człowiek z niemi razem, nie ukazały się odrazu na ziemi w postaci takiej jak są obecnie, lecz że doszły do tego stanu po całym szeregu zmian radykalnych. Jakby jaki prąd olbrzymi wszystkie żyjące istoty płyną naprzód w szeregu wieków, zmieniając się w ogólnych zarysach, przystosowując do warunków otaczających, doskonalą się i nabierają sił albo też zanikają; nie ma ani chwili stałej i chociaż zmian w epoce historycznej nie wiele dopatrzeć się można, to jednak niezaprzeczone fakty przyrodnicze dowodzą, iż tak jest istotnie i dziś nie ma człowieka wiedzy, któryby o tem powątpiewał.

Prawa według których człowiek się rozwijał, zostały przez wielkich uczonych naszych czasów zbadane w jasnych i wyraźnych zarysach. Brakuje tu jeszcze wiele, ale z dniem niemal każdym przybywają nowe przyczynki rozświecające niektóre tajemnicze strony i budowa całości staje się coraz zupełniejszą i cozaz bardziej wykończoną.

Najbardziej dokładnie zbadaną została strona morfologiczna przedmiotu, mało natomiast zrobiono w kierunku poznania rozwoju zmysłów człowieka. Dziś jeszcze nie ma pewnych danych, jak człowiek dawniej *widział* naturę, w jakich ją widział barwach, czy odróżniał te wszystkie kolory które my odróżniamy, czy *słyszał* dźwięki tak jak my słyszymy? W ostatnich dopiero latach zaczęto bliżej zajmować się tym przedmiotem i znaleziono pewne wskazówki, że i te zmysłowe czynności podlegały znacznym zmianom i to w czasach historycznych.

Do badaczy, którzy się tem najwięcej zajmowali, należy Hugo Magnus i dziś chcemy tu podać w treszczeniu to, co on o zmianie w poznawaniu kolorów u człowieku napisał.

W tych badaniach bardzo mało punktów oparcia można znaleść w rzeźbie i malarstwie z dawnych czasów, bo nie sięgają one jeszcze okresu, w którym zmysł wzroku był mało rozwinię tym, albo jeżli sięgają to są to tak drobne szczątki, że z nich wniosków ogólnych wyprowadzić nie można. Daleko pożyteczniejszego i bogatszego materjału dostarcza mowa ludzka, zachowana w dawnych pomnikach literatury. „Wrażenie każdej barwy, każdego wyraźnego odcienia musiało przecież znaleść w mowie odpowiednie określenia, odpowiedni wyraz, którego śladów szukać należy w starożytnej literaturze“. Niemożliwem jest przypuścić, żeby w jakimś okresie czasu widziano jakąś barwę a nie nadano nazwy odpowiedniej temu wrażeniu oka. Skoro tylko ludzkie oko mogło odróżnić pewien kolor od innych, to człowiek musiał uczuć popęd do dania mu nazwy, aby mógł porozumiewać się o tem z innymi ludźmi. Można było nie nazywać pewnych odcieni przejściowych, niewyraźnych, skreślać to jakiemiś porównaniami lub opisami, lecz niepodobna, aby widząc jakiś kolor wybitny, np. zielony, nie znaleziono nań odpowiedniego wyrazu. Zieloność roślin gra tak wielką rolę w przyrodzie, że nie można myśleć na serjo, iż był kiedyś czas, w którym człowiek za pomocą swego nerwu ocznego nie odczuwał zieloności, ale nie uczuwał potrzeby zaznaczenia tej funkcji nerwowej jakimś wyrazem. A więc, jeżeli, w którejkolwiek epoce rozwoju cywilizacji nie znajdziemy wyrazu na oznaczenie zieloności, to wtedy wnioskować będziemy, że siatkówka oka naszego nie posiadała wtedy jeszcze zdolności ujmowania koloru zielonego. Na tej zasadzie można przeprowadzić całkowite badanie języków starożytnych i z brakowania pewnych wyrazów robić wnioski o stanie zdolności widzenia w epoce, z której te zabytki językowe pochodzą.

Z badań tego rodzaju przekonano się, iż ogólnem to prawie jest prawem, iż na niskich stopniach rozwoju, w odległych czasach, czuje się wielka ubogość w używaniu wyrazów na oznaczenie barw w przyrodzie. W dawnych pomnikach literatury indyjskiej, prawie zupełny brak wszelkich wyrazów na kolory. Jeden tylko przymiotnik często się powtarza, a mianowicie: *czerwony*. Lecz i to nie jest ściśłem, bowiem czerwony nie odróżnia się jeszcze wiele, od jasnego białego koloru. W tych czasach mało jeszcze uważano na charakter barwy czerwonej; chodziło tam więcej o siłę, z jaką ta barwa działa na oko i dla tego to zamięszanie między kolorem jasno białym a czerwonym. Widziano wtedy w przyrodzie tylko to co jest ciemne i to co jest jasne; reszta ginęła niepostrzeżenie, a przynajmniej tak mało działała na siatkówkę, że nie odczuwano potrzeby stworzenia nowego słowa. Świat musiał się przedstawiać pięknym co do świateł i cieni, ale niezmiernie ubogim w barwy. Do oka przemawiała plastyka a nie harmonja kolorów.

W późniejszych czasach, za Homera, już oko daleko dalej naprzód poszło w swym rozwoju. Oprócz czerwonego zaczęto odróżniać i inne pokrewne barwy, znajdujące się w sąsiedztwie, jak naprzykład żółtą i pomarańczową. Dla tej epoki nie brakuje dowodów, bo klasycy Grecy, przez kilka wieków zostali dokładnie przestudjowani. Iliada i Odysseja dostarczają w tym kierunku nadzwyczaj obfitego materjału.

Już nie jednego z filologów uderzało, że dzieła Homera są tak ubogie w opisywauie barwnych zjawisk przyrody. Wszystko obraca się u niego w ciasnem kółku barwy czerwonej i jej pokrewnych. Z tęczy kolorów, którą widzimy w widmie słonecznem, ujmowali ówcześni Grecy, tylko tę część, która się znajduje w sąsiedztwie czerwonego końca tego widma. I tak np. śpiewak Iliady tak opisuje tęczę, kładąc nacisk na kolor czerwony:

„A Kronion Zeus na niebie rozpościera dla śmiertelników *purpurową* Irys.“

U Homera nie spotykamy się z szerokiemi opisami cudnego błękitu nieba, zieloności łąk i nigdy nie występują one, jako barwy charakteryzujące obraz opisywany. A jakże wręcz przeciwnie z tym przedmiotem obchodzą się poeci naszych czasów i jak nie żałują najmniejszych odcieni z swej poetyckiej palety

W obec tego szczególnie jest uderzającem, że Homer tak szczegółowo opisuje cienie i światła, różne efekty oświetlenia i na te wszystkie odcienia znajduje odpowiednie wyrazy. Obrazy poetyckie Homera, podobne są do obrazów malowanych tuszem albo sepią, których cała wartość polega na umiejętnem podniesieniu świateł rozlanych w przyrodzie i kontrastujących z niemi cieniów. Tłumacz wielkiego mistrza nie może nieraz znaleść dzisiaj słów odpowiednich na wyrażenie w dziś istniejących językach tego bogactwa efektów świetlanych rozlanych w wielu miejscach Iliady i Odysei.

To bogactwo wytłumaczymy sobie, że chociaż za czasów Homerowskich zmysł poznawania

barw był bardziej rozwiniętym niż u Indów, to jednak zamkniętym on był w małym zakresie kolorów zbliżonych do czerwonego końca widma słonecznego. Kolory odczuwano nie według ich oznak charakterystycznych, lecz według siły ich działania na oko, według efektów światła, które wywoływały. Dzisiaj nikt nie zajmuje się tak szczegółowym opisem tych efektów jak Homer, bo jednocześnie z rozwojem zmysłu do kolorów, zaginęło delikatne poczucie odcieni świateł, które się rozpłynęło w tym dokładnem odróżnianiu barw jakiem my jesteśmy obdarzeni. Mamy tu wyraźny przykład jak wszystko jest zmiennem w ustroju człowieka i jak w przebiegu wieków jedne strony życia rozwijają się a drugie wygasają.

Opisy Homera są wypływem fizjologicznej konieczności, opierają się na istniejącym wtedy stanie zmysłu wzrokowego. Wielu badaczy z Gladstonem na czele, który jest znakomitym znawcą Homera, podnosiło już niejednokrotnie dawniej, że za owych czasów zmysł widzenia był jeszcze w stanie bardzo słabego rozwoju.

W nieco późniejszej fazie rozwoju siatkówki, już i dalsze kolory zaczęły być wyraźniej widzianemi. I tak np. pojawia się kolor zielony, ale naprzód tak jak dawniej było z poprzedniemi barwami, tylko głównie odróżniano pewne odcienia światła. Jasne tony zieloności łączono naprzód z wrażeniem jasności, a ciemnozielone przedmioty, uważano jako przedmioty zacienione, Tem się tłumaczy, że jedną nazwą zielony oznaczano i kolor wina i barwę piasku oraz kolor stali, chociaż tę samą nazwę zastosowywano do koloru roślinności.

Widzimy tu nowe stwierdzenie prawa rządzącego rozwojem, że oko w ciągu wieków coraz dalej w widmie słonecznem mogło odróżniać barwy, które jak wiadomo, idą w następującym porządku poczynając od czerwonego końca: pomarańczowa, żółta, zielona, niebieska i fioletowa. W epoce, o której mowa, już doszli ludzie do zielonej barwy. Ksenofanes twierdził, iż tęcza składa się z trzech kolorów, czerwonego, żółtego i zielono-żółtego, bo innych nie odróżniał wcale.

W dalszym rozwoju historycznym przyszedł czas, że i niebieski kolor zaczęto poznawać w jego szczegółach, chociaż naprzód łączono jego odcienia z pojęciami jasności i ciemności, jak to bywało i ze wszystkiemi poprzedniemi barwami. W pewnej epoce zachodziło pomieszanie między kolorem zielonym a niebieskim. Że kolor niebieski z początku nie był uważany jako taki, ale tylko widziano w przedmiotach niebiesko zabarwionych jedynie ich większy lub mniejszy efekt pod względem siły światła, dowodzi tego najlepiej przymiotnik *glaukos*, którego Homer używał wyłącznie na oznaczenie jasności przedmiotów, bez względu na ich barwę, a który potem już za czasów Platona i Arystotelesa skrystalizował się w przymiotnik oznaczający wyraźnie jasny błękit, lub błękit szary. Pojęcie barwności już wtedy było z nim zupełnie połączone.

Siatkówka oka już wtedy tak się rozwinęła że odróżniano trzy kolory, czerwony, zielony i błękitny. Arystoteles opisuje tęczę jako trójbarwny most na niebie. Formy przechodowe jeszcze mało działały na siatkówkę i mało na nie zwracano uwagi tak że Arystoteles powiada, że między czerwonym a zielonym pojawia się niekiedy kolor żółty. Przejściowe barwy oznaczano pojęciami jasności i ciemności i widziano przedmioty jeszcze w znacznych kontrastach światła i cieni, a w mniejszych daleko różnicach barwy. Później dopiero zaczęto głębiej się nad przejściami zastanawiać i szukać nawet przyczyn owych odcieni w mięszaniu się kolorów ze sobą.

Zestawiwszy to wszystko razem przychodzimy do przekonania, iż w tym rozwoju jest pewne prawo obowiązujące, które kierowało wickowym rozwojem naszej siatkówki i która tak kształciła oko, że naprzód przychodziły do świadomości tylko różnice świateł i cieni, a później poczynając od czerwonego końca widma człowiek coraz dalej szedł przez barwy aż do stanu, w którym jest obecnie. Mamy tu jeden z namacalnych dowodów potwierdzających rozwój organizmu, i mamy niezaprzeczalną nadzieję, że rozwój ten pójdzie dalej i że potomkowie nasi obdarzeni będą zmysłami daleko wyżej od naszych rozwiniętemi.

W tych wywodach Magnusa, któreśmy z jego pracy podali, tkwi jeszcze jeden wybitny przykład, jak pożytecznemi i jak pouczającemi mogą być studja lingwistyczne w ten sposób prowadzone i jaki korzyści z nich odnieść mogą nauki przyrodnicze. Mało jeszcze do niedawnego czasu zajmowano się tym przedmiotem. Leżał on odłogiem i studjowano mowę jakby coś odrębnego od przyrody, jakby coś oderwanego i w sposób nadprzyrodzony nam nadanego. Dziś rzeczy stoją inaczej i we wszystkich gałęziach lingwistyki pojawiają się studja nad językiem prowadzone metodą przyrodniczą, wydające nadspodziewane i pełne doniosłości rezultaty.

Najmniej może w tym kierunku z pomiędzy cywilizowanych języków zrobiono z naszym, a przecież tu nastręcza się materjał bardzo wielki, chociażby np. w kierunku badań o których wyżej mowa.

Mamy wskazówki w mowach słowiańskich że i tu rozwój odbywał się w tym samym kierunku, ludzie zaczęli ujmować kolory poczynając od czerwonego końca widma. I tak słowo *krasny* służy w swych rozmaitych pochodnych tak dla oznaczenia czerwoności, jak i dla wyrażenia siły, natężenia barwy i jej piękności.

Lecz sprawa nie do nas należy i zostawiamy ją specjalistom. *Br. Abakanowicz.*

KORESPONDENCJE.

Genewa 29 września.

(Obudzone współczucie ku przeszłości gallijskiej. Podróż po Gallii — Lionela Bonnemère'a. Jakie mają znaczenie dzisiej sympatje gallijskie? Historja wojny domowej w 1871 r. przez Ludwika Fiaux. Wielkość Bismarcka i książka o nim Busch'a. Rocznik nauki i polityki społecznej. Nowa powieść rosyjska na tle życia młodzieży rewolucyjnej. Stańczyki i studjum o nich Samotnika z pod Gołogór. Jubileusz Kraszewskiego w Genewie.)

„Klasy wyższe i niższe, które dzisiaj patrzą na siebie z nieufnością lub walczą wspólnie za systemata idei i rządów, nie są w wielu krajach niczem innem jak tylko narodami zwycięzkiemi i zwyciężonemi w epoce poprzedzającej.“ Słowa te wypowiedział Augustyn Thierry, uczeń Saint-Simon'a w 1825 r. we wstępie do Historji zdobycia Anglii przez Normandów. Współczując klasom niższym, zwyciężonym, z zamiłowaniem mówił o celtyckiem plemieniu, o Gallach. „Jakkolwiek zmuszony—pisze dalej we wstępie—opowiadać treściwie ich losy, czyniłem to wszakże z pewnym rodzajem współczucia, z tą rozkoszą, jakiej się doświadcza wynagradzając niesprawiedliwość. W samej rzeczy, założenie wielkich państw teraźniejszych było jedynie owocem siły; nowe towarzystwa utworzyły się ze szczątków społeczeństw starożytnych, gwałtownie zburzonych, a podczas tego przetwarzania się państw, wielkie masy ludu potraciły wolność, nawet nazwiska narodowe, które zostały zamienione na obce. Wiem, że ten ruch zniszczenia był nieunikniony. Jakkolwiek był on gwałtowny i niesprawiedliwy w zasadzie, jednakże wynikiem, następstwem obecnem jego jest cywilizacja europejska. Lecz oddając hołd tej cywilizacji, podziwiając wzniosłe przeznaczenie, jakie ona gotuje dla rodu ludzkiego, wolno jest patrzeć nie bez pewnego żalu na upadek innych cywilizacyj, które mogłyby były się wznieść również wysoko i przynieść kiedyś owoce dla świata, gdyby im sprzyjało szczęście*)

Obudzone współczucie ku plemieniu zwyciężonemu, przez długi czas ujarzmionemu, które w niższych warstwach narodu w rozmaitych prowincjach zachowało swoje tradycje, swoją typowość fizyczną i moralną, nawet swoją mowę — współczucie to stało się silnym bodźcem do licznych prac historycznych i etnograficznych o tem plemieniu. Brat Augustyna, Amedeusz Thierry w 1828 r. wydał „Historję Gallów“, Valckenner — ich geografię; Villemarque i Henryk Martin ze szczególnem zamiłowaniem zajmowali się ich archeologją. Potworzyły się w tym celu liczne archeologiczne towarzystwa. Zwłaszcza Bretanja, ta typowa celtycka prowincja, obfituje w archeologów. „Nie ma miasta — powiada Lionel Bonnemère — któreby nie posiało kilku uczonych, zajmujących się badaniem starożytności miejscowych“. Tamże w Saint-Brienne w 1867 r. odbył się międzynarodowy celtycki kongres. Do upowszechnienia wiadomości o Gallach i współczucia ku nim w ostatnich czasach przyczynił się najwięcej znany francuski historyk, Henryk Martin, który w pierwszym tomie swojej *Historji Franciji* żywy nakreślił obraz społeczeństwa gallijskiego za czasów Juljusza Cezara. „Czytałem i odczytywałem wiele razy tę piękną pracę — powiada Lionel Bonnemère — tak jak czytałem i odczytywałem jego *Vercingétorix*, dramat napisany wierszem. Dlaczego nigdy nie przedstawiono tego utworu głęboko prawdziwego w swych głównych zarysach, tego utworu, o którym możnaby powiedzieć, że go napisał bard starożytny? Cezar często pojawiał się na scenie jako zwycięzca. Bohater Gergowii nie wzbudza wiary w żadnym dyrektorze teatru. Hasło Gallów zwraca się przeciwko nim samym: Biada zwyciężonym!“

Lionel Bonnemère, syn Eugeniusza, autora *Historji włościan* we Francji, wstępuje w ślady Augustyna Thierry'ego i Henryka Martin'a. Jego *Voyage à travers les Gaules 56 ans avant Jésus — Christ* (Paris, 1879) ma na celu spopularyzowanie wiedzy o Gallach i spotęgowanie współczucia ku ich przeszłości. Autor nadał swojej pracy, lubo osnutej na ścisłych badaniach, formę lekką, beletrystyczną formę listów, które Rzymianin pisze do swojej kochanki Lidii, do swego wuja Spurius'a i pisze do kilku innych Rzymian. Autor kreśli nam szczegółowy i zajmujący obraz Gallii i jej mieszkańców. Opisuje miasta, wieś, stosunki społeczne, ekonomiczną i polityczną organizację, zwyczaje i obyczaje,

*) Str. 7 i 8. Historja zdobycia Anglii przez Normandów. Przetłómaczył W. Z. W Warszawie. 1858.

*

religję i jej instytucje, dzieje, tradycje i płody poetyckie, urządzenia domowe, ubiory itd. Wszystko, co prace historyczne, etnograficzne i archeologiczne zdołały odtworzyć z przeszłości gallijskiej, autor streścił i zebrał w swojem opowiadaniu. Nadto chciał ją widzieć własnemi oczami. Szukał więc jej w Bretanii, w Morvan'ie i innych częściach Francji. Przypatrywał się zwyczajom i sposobowi życia włościan. Zwiedzał ich domy, „które pod wielu względami podobne są do owych, w których mieszkali wojownicy Celta Wercyngetoriksa i Dumnas'a".

Prąd demokratyczny podnosi ludzkość włościańską i ożywia równocześnie przeszłość gallijską. „Nasze prawdziwe tradycje — powiada Lionel Bonnemère — pochodzą nie z Rzymu, lecz z Galli." „Zapomnijmy, żeśmy mieli królów i cesarzów, którzy wszyscy mniej lub więcej brali za wzór Juljusza Cezara, tego burzyciela naszej niepodległości narodowej. Niech rzeczpospolita nasza umiłuje te starożytne gallijskie federacje, których instytucje były mniej lub więcej oparte na wolności, jeżeli nie demokratyczne! Nasi ojcowie w sprawie rządów powodowali siłę wielką zasadą, że naród zawsze więcej znaczy od jednego człowieka". „Jeśli więc chcemy — powiada dalej Bonnemère — ażeby nasi synowie żyli wolni w ojczyźnie wolnej i szanowanej, nie należy — jakto przez długi czas czyniono w liceach — wynosić pod niebiosa tryumfujących konsulów a bezlitośnie poniżać zwyciężonych".

Rzymianie nazywali Gallów barbarzyńcami i za nimi powtarzano to często. A wszakże Rzym żywił się chlebem gallijskim. Religja Gallów bardziej nawet aniżeli chrześcijaństwo jest religją przebaczenia. Tam nikogo Bóg nie potępiał. Gallowie mieli wielkich poetów i głębokich myślicieli. Wielożeństwo i niewola mało były im znane. Ale Gallowie byli barbarzyńcami w dyplomacji i głupcy, wierzyli, że dane słowo zobowiązuje. „Konsul, który zapewniwszy króla Arwernów, uwięził go i okuł w kajdany, był człowiekiem cywilizowanym. Wercyngetoryks, który chcąc ocalić swoich rodaków, poddał się bezlitośnemu zwycięzcy, był barbarzyńcą".

Podstawą ustroju gallijskiego była fedreacja, Rzym opierał się na centralizacji. „System gallijski, była to wolność. System rzymski, był to despotyzm. Biurokracja jest wynalazkiem zupełnie obcym naszemu narodowemu duchowi, i przynieśli ją do nas mocarze świata. Cały administracyjny mechanizm, od którego różne europejskie narody jeszcze cierpią i — lękam się — długo cierpieć będą, jest naśladowaniem instytucyj, które panowały nad Tybrem. Kiedy garstka wychodźców założyła w kraju naszym kolonję Narbo, z rozkazu senatu metropolii przybyła wraz z nią cała armja urzędników, ażeby osiąść w murach jeszcze nieoschłych. Z każdym dniem prowincja rosła, i z każdym dniem wznosiły się nowe rzymskie miasta. Z każdym dniem także wzmagała się liczba urzędników. Wreszcie nadeszła chwila, kiedy Gallowie zwyciężeni ujrzeli się skrępowanymi i wydanymi na łaskę ajentów władzy centralnej".

Jak widzimy, sympatje gallijskie wiążą się we Francji z dążeniem obecnem ku decentralizacji. Ochłonąwszy z namiętności, wielu z przeciwnego nawet obozu zaczyna już inaczej dzisiaj patrzeć na ostatnią komunę. Dowodem tego książka Ludwika Fiaux: *Historie de la guerre civile de 1871* (Paris, Charpentier, 1879). Autor nie należy do czcicieli komuny, ale i nie potępia jej też bezwzględnie. Nie komuna przejmuje go zgrozą, lecz wojna domowa. Na kogoż jednak ma spadać odpowiedzialność za nią? Autor bezstronnie bada fakty i stanowczo oskarża większość monarchiczną zgromadzenia wersalskiego i ambicją Thiers'a. Przypomina sobie radę, którą dawał Bismarck Juljuszowi Favre'owi, kiedy ten skarżył się na trudne położenie rządu francuskiego wobec stronnictwa czerwonych w Paryżu. „Macie teraz całą armję pod bronią — mówił Bismarck — wywołajcie więc rokosz i stłumcie go."

Szczegół ten biorę z książki Maurycego Busch'a (*Graf Bismarck und seine Leute, während des Krieges von Frankreich* — von Dr Moritz Busch. Leipzig 1878), który olśniety wielkością swego pryncypała, spisywał nietylko wszystkie jego słowa i dowcipy, ale nawet notował, co ten jadł. Książka ta jest cennym dokumentem z powodu swej naiwnej szczerości. Daje ona klucz do zrozumienia rodzaju wielkości niemieckiego kanclerza. Jest wielkość i wielkość: Jedna na posłudze silnych tego świata, druga na służbie ludów. Jedna drwi z nieszczęść ludzkich, druga krwawi się ich widokiem. Bismarck dał dowód hartu swego serca. Siedząc za stołem, pełnym wyszukanych potraw i doborowych win, mówiono o strasznym głodzie, który nękał Paryżan. — A pomimo to, mnóstwo kobiet z dziećmi spaceruje po bulwarach—zauważał ktoś z obecnych.— To jeszcze w Paryżu są dzieci — przerwał drwiąco Bismarck — sądziłem, że już je wszystkie pozjadano. — Hucznym śmiechem odpowiedziano na ten dowcip wielkiego męża, któremu już za życia stawią posągi, i którego wielkość wynagrodzono tytułami, rozległemi dobrami i miljonowym dochodem.

Książkę Busch'a przetłumaczono na język francuski, wszakże z pewnemi opuszczeniami. Ma to pewne znaczenie z tego względu, że tłumaczenie wykonano pod okiem samego autora. Czyżby miała w nim powstać jakaś wątpliwość co do ewangielicznego znaczenia swego mistrza?

Na szczęście, w miarę wzmagania się samowiedzy ludów, zmniejsza się wpływ wielkich ludzi na ich los. A samowiedza ludów — pomimo trudnych warunków — szybko rośnie. Kto chce przekonać się o tem, radźimy mu przeczytać wydany niedawno w Zürichu Rocznik nauki i polityki społecznej (*Jahrbuch für Sozialwissenschaft und Sozialpolitik*. Herausgegeben von Dr Ludwig Richter. Zürich — Oberstrass. Verlag von Ferdinand Körber. 1879). Znajdzie tam rozumowane sprawozdanie z ruchu społecznego w ostatnich czasach w Ameryce, Danii, Szwecji i Norwegji, Cesarstwie niemieckiem, Francji, Włoszech, Holandji i Belgji, Austrji, Portugalji, Szwajcarji, Polsce, Rusi, Rosji, Hiszpanji i Węgrzech. Oprócz tego Rocznik zawiera recenzje 15tu dzieł i kilka artykułów, dotyczących najżywotniejszych w obecnym czasie zagadnień.

Sprawozdanie z ruchu społecznego w Rosji, napisane przez byłego redaktora *Wpierodu*, jest co do rozmiarów swoich najobszerniejsze. Dzisiejszy bowiem wewnętrzny stan społeczeństwa rosyjskiego budzi powszechnie wielką ciekawość. Czasopisma i dzienniki francuskie poświęcają mu studjum i dają dość szczegółowe o nim sprawozdania. Ponuro — tajemnicze tło, na którem odbija się krwawa walka srogiego despotyzmu z rwącą się ku swobodzie młodzieżą, pozwala francuskim dostarczycielom efektownych romansów wysnuwać na niem jakieś dzikie, potworne i nieprawdopodobne fantazje. Na wystawach księgarskich pełno takich tytułów, jak *Roman d'une nihiliste*, *Les vierges russes* itd. Nie dają one żadnego rzeczywistego wyobrażenia ani o dążeniach młodzieży rosyjskiej, ani nawet o stosunkach w niej panujących. Wierniejszy tych stosunków obraz skreślił Turgieniew w *Nowinach*, przetłumaczonych na język polski. Lecz znany ten pisarz mniej z obserwacji, więcej ze słyszenia je poznał. Teraz przybywa nowa rosyjska powieść: *Wasilisa* (Wasilisa. Roman w czetyroch czastiach N. A. Berlin 1879), autorka, której w bezpośrednich znajdowała się stosunkach z rosyjską rewolucyjną młodzieżą, przebywającą w Szwajcarji. Opowiadanie tchnie taką prawdą, że wydaje się być w części spowiedzią autobiograficzną Talent autorki, która już dawniej pisywała po francusku, ale teraz podobno pierwszy raz występuje z utworem rosyjskim, jest niezaprzeczony. Celuje szczególnie w analizie psychicznej. W pewnym względzie przypomina Turgieniewa. Jej Borysow jest taką samą żywą postacią jak i Bagrow w *Ojcach i dzieciach*. Ma jednak przewagę nad tym ostatnim z tego względu, że jest artystycznem sportretowaniem rzeczywistej osoby. W ogóle wszystkie występujące w tej powieści osoby miały istnieć rzeczywiście. Najciekawszy i znakomicie skreślony jest proces psychiczny, który się odbywa w samej bohaterce. Zrodzona w świecie arystokratycznym, wychowana w formułach konwencjonalnej moralności, przygnębiona czczością salonowego życia, skrępowana małżeńskim stosunkiem z człowiekiem, którego ani kochać ani szanować nie mogła, wydobyła jednak z siebie tyle energji, że zerwała nienawistny dla niej łańcuch i wraz z córeczką ukryła się zagranicę w samotnem zupełnie życiu. Tu przypadkowo na drodze swej spotkała Borysowa, który otworzył przed nią rozległy widnokrąg nowego kształtującego się świata. Uczucie pociągnęło ją z całą siłą naprzód. ale dawne wierzenia, przekonania i nawyknienia piętrzyły przed nią nieustanne zapory. Wyrodziła się ztąd walka wewnętrzna, pełna targań i boleści, którą autorka bardzo żywo i obrazowo skreśliła.

Walka dawnych i nowych zasad, odbywająca się dość namiętnie w całym cywilizowanym świecie, i u nas przybrała w ostatnich czasach wydatniejszą formę. Przedział między wrogiemi obozami stoje się coraz wyraźniejszy. Bałamucenie dawne umysłów wspólnością celu walki politycznej rozprasza się. Przewódcy obozu konserwatywnego, Stańczyki, głośno powiadają: *Zmuszeni złożyć oręż w walce o byt polityczny, niezłożyliśmy go i nie złożymy w walce o zasady*. Fakt ten uważam wbrew zdaniu Samotnika i pod Gołogór—za bardzo korzystny dla narodu polskiego. Dosyć już chaotycznego błąkania się w myślach. Wszystkim ludziom uczciwym, a zwłaszcza młodzieży nie siebie tylko egoistycznie mającej na celu, pora już stanowcza określić, dokąd ma iść i z kim ma trzymać. Macie wóz i przewóz. Wybierajcie. Z tego powodu należy się szczera wdzięczność Samotnikowi z pod Gołogór za jego studjum polityczno-krytyczne: *O serwilizmie i o serwilistach* (Zeszyt I. Bruxella, 1879. Księgarnia C. Muquardt. Rue de la Régence 45). Zadał on sobie pracę, własnemi wyrazami Stańczyków nakreślić ich polityczny program i wskazać, dokąd dążą.

W jubileuszowym obchodzie uczczenia za-

sług Kraszewskiego wzięli także udział i Polacy, przebywający w Genewie. Inicjatywa w tej sprawie należy się tutejszemu polskiemu Towarzystwu wzajemnej pomocy. Uchwaliło ono adres do szanownego jubilata, który już wysłano do Krakowa na ręce komitetu, urządzającego tam uroczystość jubileuszową, i zaprosiło wszystkich rodaków, przebywających w Genewie, na wykład pułkownika Zygmunta Miłkowskiego o literackiej i obywatelskiej działalności Kraszewskiego. Wykład ten miał miejsce 28. września po południu w sali Casino de St. Pierre.

B. L.

Piśmiennictwo polskie.

(*Żydzi, przez Teofila Merunowicza. Lwów 1879. Nakładem Księgarni Polskiej.*)

Dokończenie.

Szczegóły, noty, i cytaty zebrane przez autora rozświecają kwestję w każdym kierunku. a właściwie w kierunku ujemnym, bo stron dodatnich w izraelskim narodzie, bardzo, a bardzo mało. Musielibyśmy niemal z każdego rozdziału podawać zajmujące cytaty, aby dać czytelnikowi wyobrażenie o mnogości nagromadzonych w tej książce materjałów. Na pozór zdawać by się mogło, że autor jest wrogiem Żydów. Tak jednak nie jest. Jest on wrogiem żydowskiej metody wyzyskiwania i zdzierstwa, wrogiem potwornej przewagi kapitału nad potęgą, cnotą i pracą, wrogiem złego smaku w literaturze i sztuce, kultywowanego przez Żydów, wrogiem rozbojów dokonywanych w dzień biały przez lichwiarzy, wrogiem wreszcie tego prawdziwie zwierzęcego kierunku w społeczeństwach, który dzięki przeważnie Żydom stał się dominującym. Zwrócić musimy jeszcze uwagę szanownych czytelników na jedną ważną rzecz, bez której Żydzi nie byliby i nie mogliby być tem czem są. Oto religja ich, a właściwie spaczenie tejże mające swój wyraz w talmudzie, stawiająca ich zupełnie odrębnie pośród społeczeństw europejskich i tolerująca występki, jeśli są skierowane przeciw „goimom" jest najgłówniejszą przyczyną ich potęgi i solidarności w szerzeniu zniszczenia między chrześcijańską ludnością. Autor „Żydów" zadał sobie pracę i zestawił niektóre paragrafy ustaw państwowych z religijnemi przepisami Żydów—z czego jasno wynika, że Żydzi w bardzo wielu punktach nie podlegają zupełnie ustawom państwowym tak jak inne wyznania. Równouprawnienie więc wyznań jest właściwie uprzywilejowaniem żydów: czyn za który chrześcijanina pociągną do odpowiedzialności, jest dla Żyda dozwolonym. Dlatego to prasa żydowska, a najważniejsze jej organa są w ręku Żydów, bezkarnie natrząsa się ze wszystkich religij i wyznań, ale broń Boże dotknąć talmudu, zaraz okrzyczą cię za Jezuitę, nietoleranta, człowieka średniowiecznych poglądów. Ksiądz katolicki, pastor protestancki, pop szysmatycki, oto figury z których kpić można do syta, ale wara od rabina — ten jest nietykalny — bo tego wymaga równouprawnienie. Na szczęście w ostatnich czasach rozpoczęła się w tym kierunku w całej Europie silna reakcja, której skutki są nieobliczone.

Przedstawiwszy, jak to już wyżej powiedzieliśmy, z niezwykłą sumiennością i pracowitością istniejący stan rzeczy, stawia autor następujące praktyczne wnioski: 1) Sejm powinien wezwać Akademję Umiejętności, aby zajęła się autentycznym przekładem Talmudu, jaki dotychczas w żadnym z europejskich języków nie istnieje 2) w rządzie państwa wyznaczyć osobną komisję do zbadania, o ile różni się w obec państwa stanowisko prawne wyznawców zakonu Mojżeszowego od tego, jakie ustawy państwowe innym wyznaniom przyznają; 3) Zrównać Żydów z innemi wyznaniami pod względem małżeństw i zaprowadzić ścisłą kontrolę, aby w tym kierunku ustawy nie tylko pozornie, ale rzeczywiście wykonywane były; 4) za pomocą ustawodawstwa postarać się, aby Żydzi nie mogli się uwalniać od służby wojskowej. Następnie wcelu uwolnienia ludności od potwornej przewagi kapitału płynnego i uprzywilejowania tegoż zarządzono środki następujące: 1) zaprowadzenie osobistego podatku dochodowego (Personal-Einkommensteuer); 2) jak najspieszniejsze wprowadzenie w życie projektowanej przez rząd nowej ustawy o opodatkowaniu towarzystw akcyjnych i innych przedsiębiorstw pieniężnych; 3) obłożenie stemplami i taksami przeniesień własności kapitałów płynnych, mianowicie w obrotach giełdowych i bankierskich; 4) zaprowadzenie miernego cła od zboża i mlewa na wzór Cesarstwa niemieckiego; wreszcie 5) wydanie specjalnej ustawy państwowej dla uregulowania przedsiębiorstwa przyjmowania zastawów ruchomych przez publiczne zakłady i osoby prywatne.

Od sejmu żąda autor przedewszystkiem ponowienia uchwał z dnia 8 października 1868 i 30 marca 1876 o uregulowaniu stosunków gmin izraelickich w myśl art. 15 ustawy zasadniczej państwa z dnia 21 grudnia 1867.

Czy środki te są dostateczne do skutecznego rozwiązania kwestji żydowskiej, wątpimy i sam autor nie ma pretensji, aby powiedział ostatnie słowo w tej sprawie i wynalazł medykament, któremuby już nic się oprzeć nie mogło. Według naszego zdania jedyne lekarstwo na tę chorobę jest czas, który sam wytwarza nowe stosunki, my możemy tylko istniejące złe łagodzić, ale go usunąć zupełnie wobec istniejących stosunków politycznych jest istnem niepodobieństwem. Autorowi też o to nie szło — zadaniem jego było dać jak najsumienniejszy i najwierniejszy obraz istniejących stosunków i pobudzić czytelników na podstawie cyfr i faktów do samoistnego zastanowienia się nad kwestją, którą wszyscy czują, ale nad którą mało kto myśli. Pod tym względem książkę p. Merunowicza nazwać musimy wyborną i wyrazić mu szczere uznanie za trud patrjotyczny i humanitarny.

B. Cz.

Kronika tygodniowa.

Uroczystości krakowskie tak przyćmiły wszystkie inne wypadki, tak jeszcze dotąd są przedmiotem ogólnego zajęcia, że co nie ma z niemi bezpośredniego związku na plan tylny jest usuniętem.

A uroczystość to nielada, jakiej może przez lat kilkaset Europa nie widziała. Wieńczenie Petrarki nie odbyło się z takim zapałem i nie zostało uwieńczone tak licznymi i pomnikowymi czynami. Dar Siemiradzkiego; ofiarowanie 20000 r. przez jakąś w cieniu okrytą osobę na cele ludowej oświaty, zebranie funduszu na pomnik Mickiewicza, założenie muzeum narodowego, zawiązanie wystaw dzieł sztuki ogólno polskich, przecież to kontyngens czynów, wystarczający na całe lat dziesiątki. A wszystko to dziełem jednej chwili zapału, uniesienia, która miast służyć na złożenie skromnego hołdu pracownikowi pióra, stała się w swych skutkach chwilą historyczną.

W cieniu świateł z Krakowa płynących zaginęła gdzieś i minęła u nas bez wrażenia wystawa rzeźb konkursowych do gmachu sejmowego. A była to wystawa jedyna w swoim rodzaju. Z najrozmaitszych stron świata artyści polscy ponadsyłali modele z gipsu i gliny. W tak wielkiej liczbie może się nasi rzeźbiarze nigdy razem nie spotkali i z tej wystawy można było mniej więcej ocenić stan tej sztuki w naszym kraju.

Wyrok ogólny nie wypadł jednak zbyt korzystnie. O ile malarstwo poszło u nas w górę, o tyle rzeźba nie wychodzi po nad poziom mierności. Rodzajowość podkopująca zwykle talenta, rozpanoszyła się na dobre i wszędzie było widać jej przewagę, nawet w takich grupach, gdzie przedewszystkiem o architektoniczną stronę chodzi. W ogóle brak spokoju, brak siły, pomagano sobie drobnemi efekcikami lub wymuszoną pozą. Rzeźbiarzy zjechało się mnóstwo na otwarcie konkursu. Przepędzali czas na kiwaniu głowami nad pracami współubiegających się.

Teraz sędziowie kiwają głowami.

Za dni parę ogłoszony będzie wyrok, który zresztą łatwo przewidzieć można jak wypadnie.

Tymczasem recenzenci pism codziennych, kryją się jak mogą przed zabijającym wzrokiem ubiegających się o nagrodę, którzy im przy spotkaniu obok wdzięcznego uśmiechu białką oczu pokazują, jak Otello gdy ma zadusić Desdemonę.

Natomiast najmniej powodu do niezadowolenia mają artyści teatralni. Nie wiemy czy jest jakie miasto na świecie, w któremby mniej niż u nas teatrem się zajmowano i mniej o aktorach a szczególniej o aktorkach mówiono. Publiczność ledwie się pokazuje od czasu do czasu, loże świecą zwykle pustkami, a w dziennikach sprawozdania, pożal się Boże, zamykają się w dziesięciu ogólnikowych wierszach. Jeszcze mężkim członkom sceny to jest dosyć znośne, ale panie przecież nie są żonami Cezara i wylałyby gdyby je recenzenci brali na złe lub dobre języki. Wyobrażam sobie, że gdybym był kobietą i aktorką, jak przyjemnie byłoby mi wyczytać w dzienniku: „Pani X. miała dziś na scenie suknię zachwycającą. Z błękitnej atłasowej tuniki spływała rzeka koronek, każdy fałd sukni z prawdziwym smakiem artystycznym był obmyślany, zjawisko to (?) czarowało oczy całej pięknej połowy spektatorów. Pani X. była prawdziwą bohaterką, przez autora wymarzoną."

Albo inna: „Już oddawnego czasu nie widzieliśmy tak skromnej a pięknej sukni tak cudnie leżącej na zgrabnej talii. Panna Y. prześcigła wszelkie nasze oczekiwanie w dobrem zrozumieniu roli naiwnej bohaterki".

A tymczasem milczą, milczą jak zabici, publiczności nie ma wcale, zapału nawet za centa i choćbyś wzięła najpiękniejsze stroje, wdzięczył najwyszukańszym uśmiechem — nic — nic.

Dzieją się u nas jakieś dziwne rzeczy w państwie teatralnem. Lecz miejmy nadzieję, że się przecież to najgłówniejsze ognisko artystyczne

życia u nas ożywi, tembardziej że i tam gotują się niespodzianki, zmiany, powiadają że...

Lecz „nie uprzedzajmy wypadków,“ tembardziej, że opowiadano nam te nowiny pod sekretem, pod strachem sakramentalnego a uroczystego zaklęcia z Lukrecji Borgii:

„Jeśli wyrzekniesz słowo
Ostrzeżesz jednym znakiem,
Odpowiesz za to głową
Lub czemś podobnem takiem!“

A propos teatru! Zwracamy szczególniejszą uwagę czytelników na „Smutną karjerę“, którą tam teraz wystawiają, tłumaczoną z rosyjskiego, Kryłowa. Dawno nie widzieliśmy sztuki tak prawdziwej a przytem z tak wielkim talentem napisanej, szczególniej w pierwszych trzech aktach.

Stosunki urzędnicze rosyjskie, poniżanie się wzajemne i służalstwo, wytwarzające niezdrowe i niebezpieczne prądy społeczne, stają żywo przed oczyma i mimo realizmu posuniętego do granic możliwych, widzi się przed sobą prawdziwe dzieło sztuki, iskrzące się talentem i znajomością rzeczy.

A jednak na pierwszem przedstawieniu teatr świecił pustkami...

Wprawdzie to może służyć za wytłumaczenie, że Lwów ma czem innem głowę zaprzątniętą. Przyjeżdża Siemiradzki, gotują się wspólne zabawy, wszyscy chcą odżyć chociażby tylko echem krakowskich uroczystości. Wszystko składało się żeby nas uspić i uspokoić nawet fatalna pogoda i śnieg tak wczesny jakby się spiknęły. Dobrze więc jest, że się nieco rozruszamy i rozgrzejemy u wspólnego ogniska.

Z rzeczy, które w ostatnim tygodniu ogół miasta zaciekawiły, zanotować wypada wiadomość o odkryciu znacznych źródeł wody na wyższej części ulicy Grodeckiej. Wiadomo, że tam się buduje obecnie wielki kanał, którego wykonanie właśnie w tej górnej części napotkało na dość znaczne trudności. W niewielkiej pod poziomem głębokości natrafiono na źródła, które się w kanał wylewać zaczęły. Idąc dalej, coraz więcej wody najdowano i dziś dzień i noc pracuje kilkudziesięciu robotników, żeby tę wodę pompami usunąć. Obliczenia ilości wody wykazały iż mogłaby ona jeżeliby była ujęta w odpowiednie karby, być użytą do zaopatrzenia części dolnej miasta. Jest ona bardzo dobrą i smaczną, a z dotychczas odkrytych miejsc wypływa około 50 metrów kubicznych na godzinę, czyli około 1,200,000 litrów na dobę. Licząc na osobę litrów 150 wystarczyłoby to na zasilenie około 8000 mieszkańców. Ma się przytem tę wygodę, iż źródło umieszczone jest wysoko i w środkowej części miasta możnaby było tę wodę do wyższych piątr doprowadzić.

Sądzimy, że o tej sprawie, pojawią się w odpowiednich organach dokładniejsze sprawozdania.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i nauka.

*** Wyszedł świeżo z druku czternasty a zarazem i przedostatni tom wydawnictwa jubileuszowego pod tytułem: „Wybór pism J. I. Kraszewskiego“.

Mieści on w sobie: „Starościnę Bełzką“, opowiadanie historyczne z lat 1770—1774 o smutnych losach Gertrudy z hr. Komorowskich hr. Potockiej.

Opowiadanie to jest nader ciekawem, albowiem autor, zbadawszy na podstawie wielu dokomentów cały przebieg tej sprawy, która dostarczyła osnowy do prześlicznego poematu i posłużyła za temat do tylu podań, przedstawia rzecz w innem świetle.

*** „Upominek wileński, pismo zbiorowe poświęcone Józefowi Kraszewskiemu, na pamiątkę pięćdziesięcioletniej rocznicy jego zawodu literackiego“, wyszło za pozwoleniem cenzury rządowej w Petersburgu. W dziele mieszczą się dwa utwory poetyczne okolicznościowe, jeden Antoniego Edwarda Odyńca, drugi Michała Kątkowskiego. Dalej: „Wycieczka nad Niewiażę,“ (ustęp z pamiętników) przez Jakóba Kaź. Giejsztora; „Wesele w Święciańskiem“ przez Emmę Iwaszkiewiczową; „Pogląd na rzeczy amerykańskie“ przez Henryka Kałusowskiego; „O kredycie ludowym“ przez Jana Karłowicza; „Joinville,“ fragment historyczny przez Tadeusza Korzona; „Gospodarstwo leśne w gubernjach zachodnich“ przez Juljana Łapickiego; „Kolegium Jezuickie w Płocku“ przez ks. Antoniego Moszyńskiego; „Przysłowia małoruskie“ przez A. Nowosielskiego; „Wpływ księżyca na stan pogody“ przez Ad Pietkiewicza; „Wspomnienie Romanowa,“ wiersz Adama Pługa; „Mikołaj Rej z Nagłowic“ przez St. Ptaszyckiego.

*** Ostatnie zeszyty „Encyklopedji rolnictwa“ opuściły prasę.

Zawierają one następujące artykuły: „Zakłady naukowe rolnicze“ (dokończenie); „Zakłady naukowe leśne“; „Zamoyski Andrzej“; „Ziemniaki“; „Zmianowanie“; „Zwierzęta ssące i zwierzyna“; „Żniwiarka“; „Żyto“.

Dołączony jest nadto alfabetyczny spis autorów z wyszczególnieniem ich prac w „Encyklopedji pomieszczonych, dalej nekrologję współpracowników zmarłych w ciągu trwania wydawnictwa i skorowidz.

*** „Żywoty Świętych Pańskich starego i nowego testamentu“ ks. Skargi, skrócone i uprzystępnione, ze szczególną uwagą na młodych czytelników wyjdą nakładem Gebethnera i Wolfa.

Dzieło to obecnie się drukuje, a prenumerata wkrótce zostanie ogłoszoną.

*** Wyszła nakładem księgarni ludowej p. Proszyńskiego nowa broszura; „Znaczenie posłuszeństwa w wychowaniu“ przez M. J. Z.

*** Nakładem Gebethnera i Wolfa opuściła prasę cenna monografja historyczna pod tytułem: „Kudak, twierdza kresowa i jej okolice“ przez Dubieckiego Marjana.

Praca ta nagrodzoną została przez akademję umiejętności w Krakowie.

*** Dr. Rehman ogłosił dwie nowe swe prace: „Geologiczno-botaniczne stosunki południowej Afryki i „Kilka Kartek z podróży na Kaukaz“.

*** „Anafielas“, „Witoldowe boje“ Kraszewskiego, przełożyła na francuski język pani Alicja z Jasienki Jasieńska (rodem Angielka, z domu baronowa St-Pierre de Bunbury), żona obywatela gubernji wołyńskiej. Jak słychać, praca ta ma być ogłoszona drukiem.

*** Wyszła z druku broszura w języku rosyjskim pióra księcia N. N. Golicyna p. t. „Czy żydzi używają krwi chrześciańskiej“; jestto odpowiedź na broszurę p. Chwolsona, wydaną z okoliczności sprawy sądzonej w Tyflisie.

*** W Londynie u Chapmana i Halla wychodzić zaczęły zebrane przez miss Dickens i miss Hogarth listy Karola Dickensa.

Prasa perjodyczna.

*** Ateneum w zeszycie za m. październik r. b. zawiera: I. Marja B. Pereza Galdesa z hiszpańskiego. II. Listy Czeskie. Stosunki społeczne przez Prawdę. III. Zabiegi Cesarza Maksymiljana II. o koronę Polską, przez Teodora Wierzbowskiego. IV. Najnowsze prace orjentalistów polskich za granicą przez Juljana Adolfa Święcickiego. V. Siła jako ruch. Studjum z filozofii fizyki przez Juljana Ochorowicza. VI. Wystawa sztuk pięknych w Paryżu w r. 1879, przez A Sygietyńskiego. VII. Rozbiory i sprawozdania. VIII. Kronika miesięczna.

*** W Paryżu. Z dniem 1 października zacznie wychodzić dwa razy na tydzień „Divorce,“ pismo poświęcone kwestji rozwodowej.

Sztuki piękne.

*** Nieznany rysunek Artura Grottgera! Tytułowy rysunek wiedeńskiego kalendarza „Wiener Bote“ wydawanego przez znanego pisarza Elmava, pochodzi z pod ołówka ś. p. Artura Grottgera.

Kalendarz wspomniany drukuje się w 100,000 egzemplarzach.

Piękny rysunek Grottgera niemało przyczyn się do jego popularności..

*** „Pochodnie Nerona“, słynny obraz Henryka Siemiradzkiego, tak wspaniałomyślnie przezeń ofiarowany, znajduje się obecnie na wystawie sztuk pięknych w Berlinie (po raz drugi) i jest przedmiotem ogólnego podziwu.

*** Antoni Rubinstein wyjechał do Hamburga, gdzie osobiście kierować będzie próbami swej opery „Nero“.

*** Do Londynu w połowie listopada przypędzie Pablo Sarasate, słynny hiszpański skrzypek, który wystąpi z koncertami w Londynie, Glasgowie, Edinburgu i innych prowincjonalnych miastach angielskich.

*** W Londynie w kryształowym pałacu rozpoczął się szereg zimowych koncertów; w pierwszym koncercie wystąpił trzynastoletni skrzypek Maurycy Dengremont i zyskał niezwykłe uznanie.

Teatr.

*** W Bolonji w teatrze „Comunale“ przedstawiono po raz pierwszy Goldmarka „Królowę Sabę“. Sztuka doznała wielkiego powodzenia. Wiele aryj powtarzano. Kompozytora wywołano dwadzieścia cztery razy. Dekoracje i wystawa świetne.

*** Offenbach napisał nową operetkę p. t. „Córka tambor-majora“; libretto dostarczyli panowie Chivot i Duru.

*** Paryski teatr Vaudeville wystawił nową jednoaktówkę Henryka Meilhaca i Ludwika Halévy'ego p. t. „Lolotto“; cieszy się ona wielkiem powodzeniem.

*** W dniu 18 b. m. rozpoczyna się zimowy sezon włoskiej opery w Her Majesty Theatre. Z zapowiedzianych śpiewaczek znane są panie: Ilma Murska, Trebelli, Minie Hauk, Pappenheim i Sinico. Jako nowość zapowiedziano operę Fretrego „Catarina e Petruccio“.

*** Pan Hallingshead, dyrektor teatru Gaiety w Londynie, zaangażował Sarę Bernhard, pana Coquelin, oraz całą trupę teatru Palais Royal na gościnne występy w maju roku 1880; Sarah Bernhard nie pojedzie do Ameryki.

*** W Berlinie w listopadzie wystąpi kilkakrotnie Adelina Patti. Diva śpiewać będzie w „Łucji“, „Traviacie“ i „Fauście“. Patti i Nicolini pobierać mają za występ po 9000 marek.

*** Manheimski teatr nadworny i narodowy święci w dniu 7 października stuletni jubileusz otwarcia. W dniu uroczystości daną będzie sztuka okolicznościowa w 10 obrazach dra Juljusza Werthera, po której nastąpi „Geschwind eh' es jemand erfährt“, którą otwarto teatr przed stu laty. Dnia 8 października dani będą „Zbójcy“ Szyllera, zaś 9-go „Jäger“ Ifflanda. Początek i koniec uroczystych przedstawień tworzyć będą Beethowena „Fidelio“ i Wagnera „Rheingold“ i „Wallkürie“.

*** Baletmistrz Taglioni obchodził pięćdziesięcioletni jubileusz działalności w Berlińskim królewskim teatrze; cesarz Wilhelm przesłał jubilatowi z Wiesbadenu pochlebny telegram.

*** Prasa niemiecka powstaje nader silnie na architekta, który zbudował w Poznaniu nowy teatr niemiecki. Jest on tak źle urządzony, iż z miejsc nie można nic widzieć co się dzieje na scenie, a i głos także ginie bez śladu. Publiczność, chcąc coś zobaczyć, staje na ławkach, co znów powoduje różne wypadki. Dyrekcja teatru znalazła się w niemałym kłopocie, gdyż publiczność nie chce wcale uczęszczać na widowiska.

*** Gazety paryskie zapewniają, że nowożytny Babilon liczy 7 teatrów operowych, 25 dramatycznych i 72 cafés-concerts.

Personal teatrów składa 594 artystów muzycznych oraz 3,290 aktorek i aktorów.

„Cafés-concerts“ liczy 433 muzyków i 509 aktorów.

Prócz tego na prowincji znajduje się 162 teatrów, w tej liczbie 7 lirycznych, 93 z operą i dramatem i 57 wyłącznie dramatycznych.

Dla zadowolenia Molocha, zwanego publicznością, pracowało w owych teatrach 2.018 artystów-muzyków, 1,732 śpiewaków opery i 3,665 aktorów.

Prowincja liczy także do stu „cafés“ z personelem przenoszącym tysiąc osób.

Wreszcie w Paryżu znajdujemy 217 towarzystw muzycznych, posiadających 10,000 członków.

Prowincja ma w trójnasób więcej instytucyj tego rodzaju

Szkoły.

*** Według danych centralnego komitetu statystycznego, było w Cesarstwie i Królestwie Polskiem w roku 1872 — 24,243 zakładów szkolnych i 1,168,584 uczących się (881,556 chłopców i 287,028 dziewcząt); w 1873 — 24,920 zakładów szkolnych i 1,255,467 uczących się (948,630 chłopców i 306,839 dziewcząt), i w 1874 — 24,470 zakładów szkolnych i 1,439,655 uczących się (1,093,251 chłopców i 346,404 dziewcząt.

*** Z dniem 1-ym października dwadzieścia cztery szkoły zakonne miasta Paryża przekształcone zostały z rozporządzenia projekta na świeckie.

*** W Belgii wskutek gróźb ekskomunikacji zażądało dymisji po wejściu w życie nowej ustawy o nauczaniu: w Antwerpji—101 nauczycieli, w Brabancji — 215, we Flandrji zachodniej — 106, we Flandrji wschodniej — 84, w Hainaut — 539, w Liége — 65, w Namur — 120; a zatem ogółem 1332 nauczycieli na korporację z 20,000 członków się składającą.

*** W Wajmarze zebrał się piąty sejmik nauczycieli seminarjów.

*** Na trzydzieste pierwsze zgromadzenie niemieckich filologów i nauczycieli w Trewirze zebrało się około 600 członków ze wszystkich części Niemiec a także z Szwajcarji i Austrji.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Pamiątki.

Przed kilku tygodniami znaleziono w Czarnolesie uszkodzoną tablicę grobową.

Po odczytaniu jej okazało się, iż jestto kamień nagrobowy przez Jana Kochanowskiego, poetę, dla jego rodziców Piotra i Anny z Białaszowa wzniesiony.

Obecnie zaś dowiadujemy się, że za staraniem jednego ze skrzętnych zbieraczy, pana Z., odnaleziono w Iwanowicach, w Kaliskiem, metrykę słynnego obrońcy Częstochowy księdza Kordeckiego.

*** W Genewie odbywają się narady europejskiej ligi pokoju i wolności. W kongresie bierze udział 150 uczestników. Obradom przewodniczy Le Monnier.

*** Opuścił świeżo prasę „Portret J. I. Kraszewskiego,“ skreślony udatnie przez p. Stanisława Kijeńskiego.

Wydawcą tej pracy jest p. Kaufman.

*** W Londynie w Agricultural Hall otwarto wystawę inwentarza restauracyjnego, jest tu: bogaty zbiór materjałów spożywczych i do picia, materjał oświetlający, zastawy, bilardy i t. p.

*** Wścieklizna. Na posiedzeniu Akademji nauk paryskiej z dnia 25 sierpnia, p. Galtier przedstawił rezultat swych badań nad wścieklizną u psów. Najważniejszym wnioskiem z jego poszukiwań jest, że ślina psa wściekłego, zebrana na żywem zwierzęciu i wpuszczona do wody jest zaraźliwą po 5-u, 14-u a nawet 24 godzinach. Fakt ten ma niezmiernie ważne znaczenie, dowodzi bowiem, że wodę, do której dostała się kropla śliny psa wściekłego pić pragnącego, uważać potrzeba za zjadliwą, co najmniej przez dobę. Dalej, że ponieważ ślina psa zdechłego na wściekliznę lub zabitego, nie traci swych szkodliwych własności przez proste ostygnięcie trupa, wypada więc przy sekcjach mieć się na baczności, ażeby jej sobie nie zaszczepić przy badaniu jamy pyskowej i gardziela.

*** Niezwykłą podróż wykonali trzej amatorowie welocypedyści z Medjolanu. Panowie Luigi Creco, Colombo i Calzolari wyjechali z Medjolanu w dniu 6 września; przybyli w dniu 12 do Lugdunu, przejeżdżając przez Pawję, Gennę, San Remo, Niceę, Marsylję i Walencję. W ten sposób przebyli oni odległość 880 kilometrów w pięciu dniach, tylko z pomocą welocypedów. Po zwiedzeniu Lugdunu, odjechali do Genewy, Martigny, Sierre i Brieg. W dniu 18. września stanąć mają z powrotem w Medjolanie, przebywszy 1530 kilometrów w ciągu dwunastu dni.

*** Ze Stanów Zjednoczonych. Sieć napowietrznych kolei żelaznych w Nowym-Jorku uzupełnia się ciągle. Dotychczas pobudowano nad ulicami na słupach metalowych dwie drogi: „Metropolitan Elevated“ i „New-York Elevated railroad“. Obie wychodzą z jednego miejsca, to jest z punktu najbardziej posuniętego na południe, na wyspie Manhattan, i dochodzą do jej krańca północnego, przy Harlem-River. Dwa Towarzystwa przedsiębiorców zarządziły teraz ważne roboty na dłuższej przestrzeni miasta, w celu przedłużenia linji.

Między ulicą Greenwich i ulicą Broadway, towarzystwo drogi metropolitańskiej nabyło kilka pałaci domów za cenę sześciu miljonów franków. W tem miejscu stanąć mają szopy na lokomotywy i warstaty reparacyjne. Towarzystwo chce przedłużyć swoją linję w taki sposób, aby okrążyła ósmą aleję aż do Kingsbridge.

Podług sprawozdania, ogłoszonego przez „New-York Elevated“, liczba podróżnych w r. 1878 na jego linji wynosiła 10,079,625, a mianowicie ruch pasażerski zwiększał się w stosunku następującym; w pierwszym kwartale przejeżdżało 832,581; w drugim 983.833; w trzecim 2,075,107; w czwartym więcej niż 6 miljonów.

Cała linja rozciąga się obecnie na 37 mil, ukończona była aż do Harlemu 30. grudnia zeszłego roku. Kiedy zaś pobudowany zostanie dalszy jej ciąg od Chatam-square do City-Hall, droga ta będzie miała długość ogólną 38 mil.

Mieszkańcy domów angielskich, znajdujących się w pobliżu kolei napowietrznych, wciąż się uskarżają na to sąsiedztwo, które, zdaniem ich, bardzo jest niedogodne. Właściciele magazynów, ciągnących się wzdłuż kolei, żądają nawet pieniężnego wynagrodzenia, gdyż twierdzą, że publiczność zaprzestała odwiedzać ich zakłady. Wszyscy utyskują na hałas i dym, a przytem lękają się, aby iskry z lokomotyw nie zrządziły kiedyś w mieście pożaru.

*** W Kamieńcu Podolskim, jak donosi dziennik *Molwa*, umarł niedawno doktor Brzeziński, starzec 80-letni, znany całemu miastu z życia tak odosobnionego, że uważano go do pewnego stopnia za postać legendową.

Całe też miasto było zainteresowane tem, jaki po sobie zostawił testament!

Otóż w papierach po zmarłym znaleziono projekt do testamentu, w którym Brzeziński cały swój majątek, wynoszący 50 tysięcy rubli, zapisał uniwersytetowi lwowskiemu, w celu utworzenia przy nim stypendjum jego imienia.

Projekt jednak pozostał tylko projektem, a majątek ma przejść na własność prawnych spadkobierców zmarłego, zamieszkałych w Galicji.

*** Osuszenie błot pińskich zbliża się do końca. Jak się dowiadujemy z ostatnich sprawozdań, osuszona już została cała wschodnia część Polesia pomiędzy rzekami Dnieprem i Prypecią, na przestrzeni do trzech miljonów morgów. Przeprowadzono dotąd 731 wiorst kanalizacji, pobudowano 38 mostów, przewiercono 120 otworów, przeprowadzono 106 wiorst nowych dróg, urządzono cztery obserwatorja meteorologiczne, wreszcie zniwelowano 20,000 wiorst. Do roku 1881 ma być uskutecznione jeszcze osuszenie dwóch miljonów morgów. W roku 1880 między innemi ukończona będzie kanalizacja na 1200,000 morgów, gdzie je już rozpoczęto i na nowo zostanie osuszonych 200,000 morgów.

*** W Lugdunie w tych dniach odbywał się narodowy kongres dla poprawienia losu głuchoniemych.

*** Pod Płockiem, przejeżdżał Wisłą maleńki parowiec kołowy nabyty w Elblągu przez Hołodina, kupca z Kijowa. Płynął z Elbląga, aby Wisłą, a później Narwią i Bugiem, wreszcie kanałami i Dnieprem dostać się do Kijowa. Statku parowego tak małych rozmiarów jeszcze na Wiśle nie widzieliśmy. Nosi on miano: Gołubczyk.

*** W Berlinie otwarto oryginalną wielce restaurację. Zbudowana jest ona w formie okrętu, z emblematami alegorycznemi, kajutami pierwszej, drugiej i trzeciej klasy. Obsługę stanowią byli majtkowie w strojach marynarskich.

Handel i przemysł.

*** Z Borysławia telegrafują: Woda pojawiła się w tutejszych kopalniach nafty i wosku ziemnego zwanych „Nowy Świat“. Przybór wody wzrastał tak szybko, iż w przeciągu godziny część kopalni została zalana wodą. Robotnicy zaledwie zdołali życie wyratować. Niebezpieczeństwo groźne. W wielu miejscach dostrzeżono znaczne rysy na powierzchni ziemi. Szkody dochodzą obecnie do miljona guldenów. Kopalniom zagraża katastrofa, jeśli stosowne środki nie zdołają powstrzymać przypływu wody.

*** Lwowska izba handlowa wybrała prezydenta Edwarda Simona i sekretarza izby Maksymiljana Bodyńskiego na delegatów zjazdu izb handlowych w Pradze.

*** Przywóz bydła żywego i bitego ze Stanów Zjednoczonych przybiera coraz szersze rozmiary; i tak w tygodniu ubiegłym przywieziono ztamtąd do Liverpoolu na dwunastu parowcach 1938 wołów, 2984 owiec i 178 świń żywych, a obok tego 4499 ćwiartek wołowiny, 972 owiec i 100 świń.

*** Tegoroczne urodzaje wina we Francji były na południu obfite, na południo-wschodzie znośne, zaś w departamencie Charente bardzo słabe.

*** Tegoroczna statystyka bankructw w Londynie wykazuje ich niezwykły wzrost. Podczas gdy w roku 1877,78 było bankructw 670, obecnie zdarzyło się 1082. Większa część wynikła wskutek upadku City of Glasgow Bank.

Statystyka.

*** Ludność izraelska w Austrji wynosi, według najnowszych statystycznych obliczeń z końcem roku 1878, razem 1,533,175 dusz, z czego na Przedlitawję 923,035, zaś na Węgry 610,140 dusz przypada. Na pojedyncze prowincje Austrji rozdziela się ludność izraelska następnie: Galicja liczy 628,875, Czechy 106,000, Niższa Austrja 63,500, Bukowina 54,500, Morawja 51,500, Istrja 6,830, Szląsk 6,700; na inne prowincje austrjackie przypada tylko nieznaczna liczba ludności izraelskiej, i tak: w Tyrolu mieszka 1050, w Wyższej Austrji 1400, w Dalmacji 540, w Styrji 1050, w Karyntji 180, w Krainie 240, w Salcburskiem 140 izraelitów. W węgierskiej połowie państwa rozdziela się stosunek ludności izraelskiej: na właściwe Węgry przypada 572,000, na Siedmiogród 26 550, na Kroację 7940 i na Pogranicze wojskowe 3150 dusz. Na początku roku 1869 wynosiła ludność izraelska w monarchji austro-węgierskiej razem 1,358,907, a mianowicie: w Przedlitawji 820,020, w Węgrzech 548,707 dusz, z czego wynika, że przyrost ludności izraelskiej w Austrji w przeciągu ostatnich lat dziesięciu 164,268 dusz, czyli 12% wynosi.

*** Raport towarzystwa szerzenia chrześcijanizmu pomiędzy izraelitami zaznacza, iż ogólna liczba izraelitów wynosi około 7 miljonów, z których pięć miljonów zamieszkuje Europę, 200,000 Azję, 80,000 Afrykę, a 1 do 1½ miljona Amerykę.

*** Ogólna liczba pozostających bez środków w Londynie wynosiła w końcu czwartego tygodnia sierpnia 78,726; z tej liczby 42,240 znajdowało się w domach schronienia, 36,486 otrzymuje wsparcie.

*** Według danych urzędowych, ostatni wybuch Etny i trzęsienia ziemi spowodowały następujące szkody: lawa zniszczyła 250 hektarów ziemi uprawnej w obwodzie Castiglione, co oceniono na 524,250 franków. Trzęsienia ziemi rozciągnęły się na przestrzeni 20 kilometrów kwadratowych; 280 rodzin miało zniszczone swoje domy. Szkody oceniono na 1,027,082 franków. Najwięcej ucierpiały miasteczka Bongiero, Pisano, Santa-Venerina i Linera.

*** Według danych urzędowych, straty spowodowane pożarami w Rossji w ubiegłym miesiącu wynoszą rs. 10.856,050. Największe szkody przypadają na gubernie: irkucką — rs. 3,638,123; saratowską — rs. 609,166; tambowską — rs. 578,62

symbirską — rs. 495,069; niżno-nowgorodzką — rs. 458,128; charkowską — rs. 449,512; kurską — rs. 422,952; orenburską — rs. 377,127; twerską — rs. 289,232; woroneżską — rs. 262,142; włodzimierską — rs. 246,108; Penzy — rs. 194,360; orłowską — rs. 184,748; czernihowską — rs. 167,278; samarską — rs. 166,820; pskowską — rs. 138,653; kaliską — rs. 137,393; połtawską — rs. 131,403; tulską — rs. 117,974, kałuską rs. 112,879. W 514 wypadkach pożar powstał wskutek podpalenia, a w 1521 wypadkach nie docieczono przyczyny powstania.

Zjawiska przyrody.

„Silesia“ donosi, iż silne trzęsienie ziemi nawiedziło dnia 23 września, o godzinie 6-tej rano, miejscowość Wagstadt; trzęsieniu towarzyszył głośny grzmot.

⁂ W Klagenfurt dało się uczuć silne trzęsienie ziemi. Zjawisko trwało dwie do trzech sekund. Wstrząśnieniu towarzyszył głuchy łoskot.

⁂ Od 11 do 17 września panowały na morzu Kaspijskiem wielkie burze. Wiele okrętów utonęło, a niektóre zostały silnie uszkodzone. Szkody są bardzo znaczne.

⁂ W Lipsku w tych dniach widziano w jednym z ogrodów publicznych niezmierne roje muszek jednodniówek; o tej porze roje takie uważać trzeba za największą osobliwość.

⁂ W Szwajcarji wskutek wielkiego śniegu musiano wstrzymać już komunikację pocztową między Furca i Oberalp. Również na górze Gotharda leży już wiele śniegu. W Andermatt śnieg dosięga dwóch stóp.

Komunikacje.

⁂ Pomiędzy New-Yorkiem a Brooklynem budowany jest obecnie most monumentalny, który będzie kosztował 60 miljonów franków. Długość jego wyniesie 1500 metrów. W środku znajduje się arkada długa na 450 metrów, podtrzymywana przez dwie wieże wysokie na 84 metrów.

⁂ O przeprowadzeniu linji drogi żelaznej Monte-Cenere piszą dzienniki, iż przedsięwzięte najnowsze techniczne studja wykazały możliwość skończenia tunelu w 12 — 15 miesiącach; wkrótce już rozpoczęte zostaną roboty.

NOWE PAŃSTWO.

Jednem z najbardziej interesujących państw środkowej Afryki, w którem korona monarsza na czarnej spoczywa skroni, jest Marutse-Mambunda, położone na północ od rzeki Zambesi, z której nazwą obznajmił nas pierwszy Livingstone.

Świeżo wydana przez c. k. towarzystwo geograficzne w Wiedniu podróż dr. Emila Holuba poświęca nader zajmujący rozdział tym nieznanym dotąd krainom.

W latach 1873 i 1874, podczas pobytu Holuba w Marutse-Mambunda, panował tam król Sepopo.

Państwo to wcieliło z biegiem czasów rozmaite szczepy w swój organizm; tak np. w okolicy Zambesi mieszka szczep Mamboe, grający wybitną rolę, jako lud myśliwski, wyborny łowiec konia nilowego.

Wszyscy tu są niewolnikami króla-despoty, składającemi temuż zastrzeżone podarki w zbożu, suszonych owocach, gummielastyce, skórach zwierzęcych, świeżem i suszonem mięsie ryb i t. d.

Kość słoniową, miód i pokarm zwany „manza“ przezorny rząd zastrzegł dla siebie, jako monopol królewski i każdy, ktoby się poważył te artykuły kupować lub mieniać, winien jest śmierci.

Oprócz właściwych poddanych mieszkają w państwie Marutse-Mambunda również tacy, którzy mają tylko obowiązek opłacania haraczu; ci przynoszą swojemu władcy corocznie pewną ilość zębów ze słonia i skór z długowłosych lemurów.

Za to wszystko odpłaca się król Sepopo najwyższą tyranją i samowolą.

Straszną broń w rękę daje mu samo już pojęcie władzy króla, jako nieograniczonego posiadacza życia i mienia wszystkich mieszkańców; poddanem jest mu wszystko, co „łazi i chodzi“ na przestrzeni państwa.

Ma on całą armję małżonek, które wraz z swoim orszakiem uprawiają rozległe pola i ogrody królewskie.

Król jest jedynym w państwie kupcem, ponieważ najważniejszy artykuł handlu, kość słoniowa, stanowi przedmiot królewskiego monopolu, nieraz król, nabywszy cały transport rozmaitych przedmiotów u europejskich kupców, rozdziela je w darze pomiędzy swoich dworzan, w taki jednakże sposób, że darowane przedmioty, a zwłaszcza broń, pozostają jego własnością.

Jeżeli oko królewskie padnie na piękną trzodę, która należy do poddanego, natenczas oskarża go o pierwszą lepszą zbrodnię, o zdradę państwa, o mord lub czary; następuje niezwłoczna egzekucja, a majątek nieboszczyka przechodzi w ręce władcy.

Jestto wszakże długa droga, którą potężny monarcha może sobie znacznie ukrócić, mając nieograniczone prawo zgładzenia każdego o każdej porze i na każdem miejscu.

Prawa Jego Kr. Mości wdzierają się aż w łono rodziny: małżonka każdego poddanego jest własnością królewską.

Gdy która z dam królestwa — zwłaszcza poszukiwane są jasno-brunatne piękności z wygasającego już szczepu Makololo — podoba się wszechwładcy, zabiera on ją po prostu na dwór swój, a poddany uważać się może za szczęśliwego, jeżeli król ze skarbów swojego haremu odda mu inną w zamianie, najczęściej jednak zrabowany małżonek w ten albo w inny sposób — ginie.

Jeżeli na tronie zasiada królowa, w ten sam mniej więcej sposób postępuje z płcią męską; jeżeli jaki dorodniejszy Marutsyjczyk wpadnie jej w pożądliwe oko, natenczas oświadcza mu niezwłocznie, iż bierze go za męża, nie pytając czy wybrany nie jest przypadkiem cudzym małżonkiem.

Ogólną zasadą jest, że król i królowa muszą posiadać wszystko najpiękniejsze w kraju; ktoby ośmielił się mieć coś piękniejszego — kobietę czy kość słoniową lub wołu — ten umiera.

Dr. Holub, ilekroć zaofiarował coś w darze krajowcom, odbierał od nich odpowiedź:

— Nie możemy tego przyjąć, bo nie wiemy, czyli to posiada król Sepopo.

Miły ten monarcha rezyduje w Nowem Szeszeke, na lewem brzegu rzeki Zambesi, wolnéj od jadowitej muchy: „tsetse“, będącej utrapieniem tamtejszych okolic.

Tam znajdują się pałace królewskie; składają się one z długiego szeregu koncentrycznie wzniesionych budowli i kryją się pod swoim dachem, oprócz groźnej osoby króla, 10 — 30 królowych, z których każda posiada najmniej 5 — 10 niewolnic; dalej pewną ilość potomków jego Kr. Mości, liczną drużynę służebną, głównie pełniącą funkcje pasterzy bydła, psów i koni, gońców i szpiegów, ogromne mnóstwo krewnych królewskich, wielu dygnitarzy państwa, przedstawicieli głównych szczepów, kilku starych czarowników, i gotowego na każdy rozkaz królewski — kata.

Pomimo tak despotycznego ustroju władzy w królestwie Marutse-Mambunda, nie brak tam form konstytucyjnych.

U boku monarchy funkcjonują dwie „Izby“ czyli „Rady.“

Pierwsza z nich, t. z. Rada ściślejsza (zapewne co w rodzaju izby lordów), składa się z kilku starych, doświadczonych czarowników, kilku faworytów królewskich, a przedewszystkiem z kata, który jest najpierwszym „parem“ państwa.

Ci „parowie“ są niewolniczemi kreaturami monarchy, a jeżeli ten jest krwiożerczym gwałtownikiem, jak Sepopo, oni stają się jeszcze sroższymi gwałtownikami.

„Wielka rada“ składa się z towarzystwa o wiele porządniejszego; należą tu głowy szczepów.

Król jednak nie kieruje się prawie nigdy mądrą i zacną radą tego parlamentu; gdy zaś radcy swą mądrość posuną do tego stopnia, że zganią okrucieństwa królewskie, natenczas Sepopo każe po kolei ścinać im głowy.

Głównemi sprężynami królewskich okrucieństw byli dwaj czarownicy, wsławieni ze swych uzdrawiających leków roślinnych.

Król sam słynie szeroko ze swej władzy czarowniczej, a poddani jego już choćby dlatego ulegają potulnie wszystkim najdzikszym jego kaprysom, że nie sądzą, aby jakikolwiek opór wobec jego środków czarodziejskich mógł być skutecznym.

Sepopo uwierzył sam wreszcie w nadprzyrodzoną moc swoją tak dalece, że gdy raz, zagrożeni śmiercią jego dworzanie umknęli, używał czarów na wyszukiwanie zbiegów i sprowadzenie ich z powrotem.

Czary jednak nie powiodły się; zbiegli nie troszczyli się o ich siłę, co dało poddanym króla do myślenia.

Od tej chwili poczęli wątpić o cudownej władzy swego monarchy; aureola, otaczająca go, rozwiała się.

Wybuchła niebawem rewolucja, która w r. 1876 pozbawiła króla Sepopo tronu; pod rządami córki jego, Moquai zapewne lepsze dla Marutsyjczyków nastały chwile.

Biedni ci niewolnicy nie mają, jako ludzie, prawie żadnej ceny; za łódkę, krowę lub kołdrę bawełnianą, w niektórych okolicach za sznurek pereł szklannych można dostać dorosłego niewolnika.

Los kobiet jest tutaj lepszym, niż w sąsiednich terytorjach.

Płynie to ztąd, że królowe tamtejsze bywają łagodniejszemi od królów; mieszkańcy przeto nauczyli się szanować i kochać kobietę.

Nie służy ona za przedmiot handlu, chyba w zamianie za bardzo kosztowne przedmioty, lub oddawaną była w upominku.

Szczep Mamboe jest najpiękniejszym typem ludzkim w państwie, do cnót jego, prawdziwie czcigodnych, należy wierność poddanego i niewolnika.

Mniej surowiej przestrzeganą bywa wierność małżeńska.

Jeżeli cudzoziemiec przybędzie do Morutse i rozraduje serce męża pięknym darem pereł szklannych lub okryć wełnianych, natenczas awansuje natychmiast na „przyjaciela domu“ (Mule-kan) i otrzymuje prawo wybrania sobie tej z małżonek, która mu się najbardziej podoba.

Kobiety rzadko kiedy gniewają się za takie darowizny...

Dzieci nie troszczą się tu o rodziców, którzy nie czują głębszej tkliwości dla swego potomstwa.

Starych, chorowitych krewniaków, dla pozbycia się ich, oddają katowi, celem utopienia; zmarłych rzucają na ulicę, gdzie zamiatacze królewscy, sprzątnąwszy ich wraz z błotem i prochem ulicznym, rzucają na żer krokodylom.

Marutsyjczycy lubią piękne stroje europejskie, zwożone tu w w wielkiej mnogości przez kupców portugalskich.

Małżonki króla Sepopo ubierały się według mody paryzkiej — co prawda, z nie najświeższej daty...

Król Sepopo zmieniał pięć razy na dzień suknie, a tylko wieczorem zjawiał się w swoim naturalnym kostjumie ze skóry zwierzęcej.

Król utrzymuje kapelę złożoną z 20 ludzi, z których tylko 9 — 10 występuje publicznie.

Najcięższą pracę mają oni w nocy; muszą bowiem nieprzerwanie królowi przegrywać.

W kapieli tej są bębny, cytry, żelazne dzwonki, piszczałki, instrumenta podobne do fortepianu, tudzież smyczkowe, z włókiem papyrusowych sporządzone.

Tylko cytrzyści grają z pewnem uczuciem, reszta używa swych instrumentów apatycznie i bezmyślnie...

Każdy muzykant jest zarazem śpiewakiem na to, ażeby w pewnych interwałach opiewać chwałę królewską.

Człowiek wrażliwy — dźwiękami tej kapeli dałby się wypędzić na granice państwa Marutse Mambunda, gdyby go już pierwej wiele innych sympatycznych właściwości tej ziemi z niej nie wypędziło.

Treść Nr. 38.

Z drukarni Dziennika Polskiego, pod zarządem Leona Zubalewicza. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.